UMCS LUBLIN
czas. 2552/1387/1

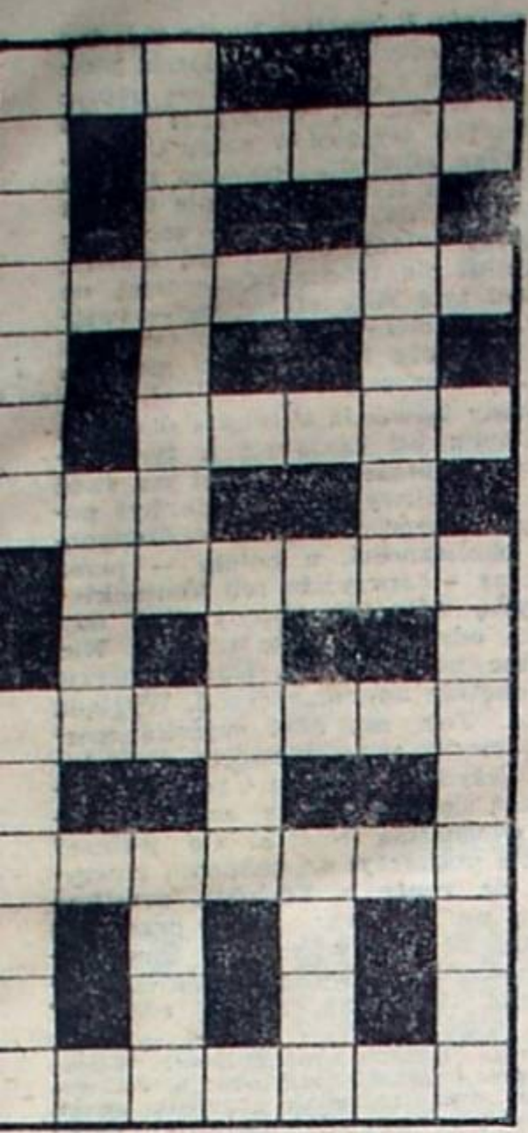

Pekao
działa od 1929 r.

4 nagrody po 3 tysiące zł

Krzyżówka świąteczna

16 stron!

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY • ROK ZAŁOŻENIA 1933

PL ISSN 0137-7108 Nr ind. 362514

kamena

NR 26 (898) 27 grudnia 1987 Cena 25 zł

Rzymianki krwiożercze i lubieżne? str. 8 - 9

Powrót Hołdysa i Perfectu str. 15

Edward Gierek jeździ małym fiatem str. 2

Londyńska kutia

Piotr Beck

NA początku była kutia, a na koniec pasterka na Devonu. W tzw międzyczasie było jednak jeszcze wiele innych rzeczy. Anglicy dostają „szmergla" na punkcie „gwiazdki" już na początku listopada. Ma się wówczas wrażenie jakby cały ogromny przemysł zaczął pracować wyłącznie na świąteczne zamówienie. Hodowcy indyków zacierają ręce, a od kolorowych „Mikołajów" w różnych wcieleniach dostaje się oczopląsu. Dekoratorzy wnętrz prześcigają się w pomysłach. Ale do splendoru naszej Wigilii kudy Anglikom tam. Owszem, choinki połyskują we wszystkich oknach różnobarwnymi lampkami, a ta największa ścinana tradycyjnie w norweskich lasach, wykwita na rozległym Trafalgar Square. Ale poza tym? No, cóż, przesiedzą ów wieczór londyńczycy w pubach-piwiarniach, spełniając jeden kufelek więcej niż w normalny piątek po tygodniowej robocie, pośpiewają chwilę swoje morskobrzmiące pieśni i wczesnym wieczorem powrócą do domów by przed telewizorem przeżywać w duchu podniecenie czekających ich dni. I choć ceremonia krojenia indyka, przynależna głowie rodziny, to też tradycja, dopiero dzień następny czyli Boxing Day zadowala ich przedziwną pedanterię w dawaniu i otrzymywaniu prezentów. Owe Boxing Day, wywodzące się po prostu od pudełka (box) a nie jak sądzą niektórzy od Powstania Bokserów w Chinach, stanowi istotne ciało całej londyńskiej bożonarodzeniowej gorączki. Najbardziej nawet uparty śnieg nie utrzyma się długo na ulicach i chodnikach metropolii i tak przeminą te dwa dni pełne niedzielnego bezruchu i zapachu ciężkich domowych ciast.

Pani Danuta nauczyła się robić kutię od matki a ta przyrządzała ją przecież nieraz w dalekim Stanisławowie. Już sama nazwa przywołuje na myśl ewo kresowe pogranicze kultur, gdzie tak bardzo przenikały się klimaty życia, aż uformowały dziwny świat pełen baśni i półmarzenia. Bywał ten świat, rzecz jasna, groźny, bywał i okrutny, ale jego niepowtarzalna barwa zapadła raz na zawsze w narodową kulturę.

Z produktami do kutii nie było kłopotu. Wszystko — od maku, poprzez miód i rodzynki — można było kupić w „Delikatesach" dziadka Mikołajczyka. Zakrzątanym zaś na śmierć gospodyniom dostarczył produkty do domu jego młody pomocnik pękatą półciężarówką. Opłatki przyniesiono z jednej z polskich parafii lub dla takich, jak my, czasowych „emigrantów" przywędrowały w listowej kopercie. Siana tylko brakowało i śniegu za oknem, a najbardziej chyba w samej podświadomości brakowało Polski.

— Zaraz po wojnie — opowiada pani Anna — jeszcze inne bywały tutaj święta. Kiedy na Ealingu szedł ulicami korowód z gwiazdą, Anglicy wyglądali zza firanek z tym swoim półuśmieszkiem, ale i chyba zadrą w sercu, że u nich to takie nijakie i że nikt od dawna tutaj nie wcielał się w Heroda. Tak, wówczas hucznie bywało na londyńskiej ulicy, a góralskie pogwarki mieszały się z podwileńskimi „zaciąganiami". Wtedy mogła się nawet przyśnić Polska. Tak bliziutko i wyraźnie, jakby była tuż.

Staropolskim zwyczajem, choć w standardowym sitting-roomie, zasiadamy wespół z gospodarzami za rozległym białym stołem. Przez głośniki sączą się już eksportowe „Mazowszańskie" kolędy z kaset, a na końcu stołu czeka puste nakrycie dla zbłąkanych lub osamotnionych. Czuje się teraz bardziej ową niesprecyzowaną więź z tymi, co tam i tymi, co tutaj. A może nawet ów szczególny tak krótkotrwały moment, kiedy cały świat wydaje się jakby lepszy. Po ścianach saloniku pełzają grube światła samochodowych reflektorów; piętrzy się za oknem nieustający gwar ośmiomilionowego miasta, a na kuchennym podwórku wiatr przerzuca pustą puszkę po konserwach. A jednak w tej obcości przemożnej udaje się na chwilę pochwycić coś bardzo swojskiego.

Syn pani Danuty, absolutnie dwulingwalny młodzieniec, zapija kutię coca-colą. Tak może tworzy się nowy klimat nowego pogranicza, innego już i na pewno pozbawionego dziejowego wsparcia. Kutia mi nie smakuje, lecz „co kraj, bo obyczaj". Spieszymy się zresztą w odwiedziny do innych znajomych. A tu zaczynają się wspominki, pełne nostalgii bardziej za krajem niż za owym konkretnym przeminiętym czasem. Kiedy nieopatrznie zajrzę potem do kuchni, spotkam panią Annę. Płacze, oparta czo-

Dokończenie na str. 12

Rys. Zygmunt Pytlik

z notatnika

Układ: Gorbaczow — Reagan

11 XII. Przed świętami cała ludzkość otrzymała przepiękny prezent: układ o całkowitej likwidacji broni jądrowej krótszego i średniego zasięgu, podpisany w Waszyngtonie przez Michaiła Gorbaczowa i Ronalda Reagana może stanowić punkt zwrotny w stosunkach między obu supermocarstwami.

Sceptycy, z takich nigdy przecież nie brakuje, mówią, iż jedynie nikły procent (2, 4, 5?) nuklearnych zapasów ZSRR i USA ulegnie zniszczeniu więc generalnie sytuacja niewiele się zmieni. To prawda, że jeżeli tylko pod tym kątem patrzeć na układ nie przedstawia się on rewelacyjnie, ale z drugiej strony można owym sceptykom odpowiedzieć, że siła mających ulec zniszczeniu środków bojowych jest aż dwustukrotnie większa od tych, które zostały użyte w drugiej wojnie światowej!

Po 1945 roku wiele już było różnorakich radziecko-amerykańskich spotkań na wyższych i niższych szczeblach. Jeśli kończyły się one mniejszym czy większym sukcesem, to zawsze była mowa tylko o ograniczaniu zbrojeń. Tym razem jest mowa o zniszczeniu konkretnego rodzaju broni, a więc rakiet o zasięgu od 500 do 5500 kilometrów w terminie lat trzech przy bardzo daleko posuniętej kontroli. Wiele spraw przestaje być supertajnych, już nie kamery telewizyjne zainstalowane na satelitach, ale oczy ludzkie będą śledzić, jak przebiega likwidacja rakiet. Bezpośrednie kontakty inspektorów radzieckich i amerykańskich siłą rzeczy będą służyły bliższemu poznaniu się, a może i zadzierzgnięciu więzów osobistej przyjaźni, o czym poucza pamiętne spotkanie na Łabie w 1945 roku.

Oczywiście to, co nastąpiło w Waszyngtonie, jest dopiero krokiem pierwszym. „Sekretarz generalny i prezydent — mówi wspólne oświadczenie radziecko-amerykańskie — przedyskutowali sprawę rokowań na temat redukcji strategicznych zbrojeń ofensywnych. Odnotowali oni osiągnięcie znacznego postępu na drodze do zawarcia układu zawierającego zasadę 50-procentowej redukcji". Rozmowy przedstawicieli supermocarstw, z pewnością niełatwe, będą więc nadal kontynuowane i być może, że wspólny punkt widzenia na tę sprawę zostanie sprecyzowany w czasie przewidzianej na pierwszą połowę przyszłego roku wizytę prezydenta Reagana w Moskwie. Na razie obie strony jeszcze raz (po Reykjaviku) potwierdziły, że „wojna nuklearna nigdy nie powinna wybuchnąć i że nie może w niej być zwycięzcy".

Waszyngtoński szczyt zakończył się w atmosferze nadziei, choć nie zdołał powstrzymać groźby rozpoczęcia wyścigu zbrojeń nuklearnych w kosmosie. Jego finał mimo wszystko kontrastował z katastrofalnym (jak pisała agencja Reutera) zakończeniem się poprzedniego szczytu w Reykjaviku, który załamał się w atmosferze zaciekłych sprzeczności wokół problemu broni strategicznych.

Prasa amerykańska nie ukrywa, że Gorbaczow, dynamiczny i pewny wiary w słuszność swojej sprawy, wyszedł ze szczytu jako dominująca osobowość. Jego wypowiedzi na konferencjach prasowych były oparte na logice, zahaczały nieraz o filozofię, miały i akcenty samokrytyczne, kiedy np. zauważył, że „młodzi ludzie mogą się znacznie lepiej porozumieć niż my — politycy".

Nie przykładałbym wielkiej wagi do faktu, iż obaj politycy, podobno z inicjatywy starszego o dwadzieścia lat Reagana, zaczęli mówić sobie po imieniu („Ron" i „Michail"), bo i Amerykanie i Rosjanie znacznie łatwiej niż np. my, Polacy, przechodzą na „ty", choć zapewne owo słowne zbliżenie świadczy również o innym niż dotychczas klimacie rozmów. Śmieszy jednak nieco informacja agencji UPI (jeśli, oczywiście informacja jest prawdziwa), która z kół amerykańskiego wywiadu dowiedziała się, iż zaangażowano specjalistów od odczytywania mowy z ruchu warg, różnego rodzaju sprzęt elektroniczny oraz ekspertów, psychologów i psychiatrów do dokładnego obserwowania Michaiła Gorbaczowa. A chodziło o to, aby ustalić źródła, dla których przywódca ten jest w ZSRR tak popularny. Teraz eksperci od odczytywania ruchu warg mają spędzić wiele godzin na studiowaniu filmów z pobytu radzieckiego przywódcy w Waszyngtonie. Pewien urzędnik CIA miał powiedzieć: „Z tych materiałów możemy wyłowić poufne uwagi, jakie Gorbaczow czyni do swych współpracowników, a nawet i dowcipne uwagi, gdyż, jak się wydaje, jest to pierwszy radziecki przywódca, który ma poczucie humoru".

Niezależnie jednak od wszystkiego obywatele amerykańscy, choć nie tylko oni, mogli dzięki środkom masowego przekazu, a głównie dzięki bezpośrednim transmisjom telewizyjnym lepiej poznać osobowość radzieckiego przywódcy i lepiej zrozumieć intencje, jakimi on się kieruje w polityce zagranicznej. Sądzę że i Amerykanie umieją samodzielnie myśleć toteż trudniej im będzie teraz, po wizycie wciskać do głowy różne ciemnoty. A sama propaganda antyradziecka, która przecież, nie czarujmy się, sączyć się będzie nadal, będzie musiała być bardziej finezyjna...

13 lat do końca XX wieku

20 XII. Na łamach poznańskiego tygodnika „Wprost" nie wydrukowałem w życiu ani jednego słowa, toteż z najczystszym sumieniem mogę polecić lekturę świątecznego, podwójnego numeru tego pisma.

Zacznę od ankiety, jaką redakcja zainicjowała, zapraszając do wzięcia w niej udziału grono szacownych osób zajmujących się różnymi dziedzinami. „Trzynastkę — czytamy — wielu z nas uważa za liczbę pechową. A do końca XX wieku pozostaje 13 lat. Jakie to będą lata — tłuste czy chude dla Polski?"

Mówi Wojciech Żukrowski, prezes ZLP: „...Twórczość jest działalnością chałupniczą, nie wymaga wielkich nakładów, byle została w porę dostrzeżona, wsparta autorytetem krytyki. Literatura na pewno może być naszą siłą. Muzyka już nią jest. Podobnie plastyka. Film wymaga sporych funduszów, rodzi się z działań zespołowych, ale i w filmie nie brak młodych, utalentowanych reżyserów. W kulturze możemy się wybić na czoło światowych osiągnięć. Pieniędzy może to nie przyniesie, ale pomoże w odbudowie znaczenia państwa, oswoi z naszą obecnością geograficzną, skoro nie ma nas na rynkach".

Mówi Wiesław Górnicki, doradca przewodniczącego Rady Państwa:

„...Zlikwidujemy zapóźnienie ekonomiczne. [...] Wprowadzona zdecydowanie reforma gospodarcza musi się udać. Wydaje mi się, że postęp w tej sferze osiągniemy szybciej niż pod koniec tego stulecia. Powątpiewam natomiast, czy nadrobimy opóźnienia w sferze świadomości społecznej. Sięgają one korzeniami jeszcze okresu rozbiorów. Nie można tego zrobić w ciągu lat trzynastu, jest to trudne do wykonania nawet w trakcie życia jednego pokolenia. Chociaż, z drugiej strony, istnieją przykłady na to, iż jest to wykonalne. Myślę tu o Węgrach. [...] Należy jednak pamiętać o naszym punkcie wyjścia. Naród, który dwa razy tracił i odzyskiwał niepodległość w ciągu jednego stulecia, jest ewenementem w skali europejskiej. Inaczej mówiąc, dwa razy musieliśmy gonić uciekający świat. Ale polskie przysłowie mówi, że do trzech razy sztuka".

(W tym sformułowaniu jest pewna nieścisłość: owszem w ciągu jednego stulecia dwukrotnie odzyskiwaliśmy niepodległość, ale od czasów rozbiorów, kiedy tę niepodległość utraciliśmy po raz pierwszy, minęło więcej niż sto lat!)

Górnicki wyraża w sprawach gospodarczych optymizm, natomiast inaczej patrzy na ten problem Janusz Symonides, profesor, specjalista w sprawach międzynarodowych: „...13 lat to stosunkowo krótki okres, ale zarazem przeraźliwe długi. Może się w nim dokonać regres cywilizacyjny i społeczny, jaki trudno sobie wyobrazić. A przecież, jeśli mam być zupełnie szczery, uważam, że Polska cofa się w tej chwili ku grupie krajów rozwijających się. 13 lat może wystarczyć, aby nas tam całkowicie przenieść. Kilka lat, które mamy przed sobą, to właściwie ostatni dzwonek. Jeżeli w tym czasie nie uzyskamy zdecydowanego przyspieszenia, to sprawa może być zupełnie przegrana. W tym znaczeniu 13 lat to bardzo długo".

Kto dożyje, ten się przekona. Na proroctwach, jak dotychczas wychodziliśmy kiepsko, więc lepiej dmuchać teraz na zimne.

Edward Gierek jeździ małym fiatem

Nie reklamuję jednak tygodnika „Wprost" tylko dlatego, że ogłosił tę ankietę. Moją uwagę przede wszystkim przyciągnął tekst Marka Zieleniewskiego pt. „Przez lekko uchyloną bramę". Autor chciał przeprowadzić rozmowę z Edwardem Gierkiem, ale zamienił tylko kilka słów ze Stanisławą Gierkową, która oświadczyła: „Trudno o sensacje dla pana czytelników. Jest [Edward Gierek] emerytem. Takim, jak wielu. Sąsiedzi potwierdzą. Jeździ małym fiatem i śmieją się z niego, że się nie mieści. A on przecież sam zadecydował o jego produkcji. I dla nas to teraz dobry samochód. Ekonomiczny".

Dziennikarzowi udało się też uzyskać kilka wypowiedzi od sąsiadów Gierka.

Pan Jerzy, emerytowany inżynier górnictwa, powiedział, że mieszka paręset metrów od niego, ale od osiemdziesiątego roku widział go może dwa-trzy razy. „Ostatni raz nawet mi się upamiętnił, bo omal nie zderzyliśmy się samochodami. Za bardzo po prostu swoim fiacikiem ściął zakręt. Zaraz, pamiętam, stanął i zaczął przepraszać. Ujął mnie tym. muszę powiedzieć... Publicznie pokazuje się chyba tylko na pogrzebach. Nie, z nikim chyba z sąsiedztwa nie utrzymuje stosunków towarzyskich. Raz tylko w roku, w dzień jego urodzin, panuje wokół ich domu większy ruch. Zjeżdża się stara gwardia... Stosunek do niego? A jaki ma być? [...] Nawet w najgorętszym okresie żaden kamień nie poleciał w tamtą stronę. Ludzie chyba myślą tak: było, minęło — nie kopie się leżącego. Zresztą, co tu dużo mówić: wielu z tej okolicy ma mu dużo do zawdzięczenia. I przecież w gruncie rzeczy on wiele dobrego zrobił dla Katowic".

Pani Eugenia, gospodyni domowa: „Nie powiem — kulturalni ludzie. A najbardziej chyba licealista Olek, wnuk pana Gierka. Dobry uczeń, lubiany wśród kolegów. Kłania mi się za każdym razem. Najweselsza to była chyba ta wizyta Schmidta. Nagle zajechał cały sznur limuzyn i zaraz poszła plotka, że Gierek („pan Gierek" — poprawia się) wraca do władzy. I trzeba było dopiero wyjaśnień pana Urbana, że to tylko odwiedzał naszego sąsiada były kanclerz RFN. A w ogóle to mąż rozmawiał z dziennikarzami zachodnimi, którzy wtedy byli, i oni mówili, że Schmidt się trochę rozczarował, no bo jechał tyle kilometrów, on — światowiec, a tu cichy, zasiedziały człowiek, z którym może i rozmawiać nie było za bardzo o czym".

Znajomy Edwarda Gierka z dawnych lat: „Chyba już czuje się w tym cieniu dobrze. Może jest nawet na swój sposób szczęśliwy... Nigdy nie był politykiem dużego formatu; wydźwignęły go okoliczności, a potem — przez jakiś czas — sprzyjała mu koniunktura. Myślę więc, że obecny stan najbardziej odpowiada jego naturze. Nie, nie pisze pamiętników. Dużo spaceruje, niechętnie opuszcza ogród. Wygląda zdrowo... Tak, ma dość wysoką emeryturę: rzędu osiemdziesięciu paru tysięcy. Trzydzieści kilka tysięcy pochłaniają jednak opłaty za dom, będący własnością miasta. Co jeszcze? Aha, raz poskarżył się jednemu z przyjaciół, że rentę z Zachodu przelicza mu się na złotówki. Ów przyjaciel przypomniał mu wtedy, że sam kiedyś spowodował wydanie takiego zarządzenia. Wie pan, że się zdziwił?"

Marek Zieleniewski, z którym przy pisaniu tego tekstu współpracował Błażej Baraniak-Leszczyński, nie podaje, co wydaje się być zrozumiałe, nazwisk swych rozmówców niemniej wszystkie wypowiedzi uznałbym za autentyczne (wspominam o tym, bo wiem, jak powstają niektóre „reportaże"). Szkoda tylko, że sam Edward Gierek nie wyraził zgody na rozmowę niemniej żona pozostawiła Zieleniewskiemu jakiś cień nadziei mówiąc: „Proszę jeszcze spróbować za jakiś czas. Niestety, na razie bardzo mi trudno sprecyzować za jak długi..."

Tak więc musi nam wystarczyć to, co znajdujemy na łamach „Wprost", choć może to dosłownie wprost nie jest. Osobiście z pewną dozą sceptycyzmu przyjmuję jednak słowa „znajomego Gierka", że były I sekretarz KC „może jest nawet na swój sposób szczęśliwy". „Może", więc i on ma pewne wątpliwości. Oczywiście każdy człowiek ma inną psychikę, nie wiem jednak, czy po tak gwałtownym upadku można tylko strzepnąć pył z ubrania...

Niezależnie jednak od wszystkiego nasuwa się refleksja innego rodzaju: za czasów Gierka nawet tego rodzaju tekst o jego poprzedniku, Władysławie Gomułce, nie ujrzałby światła dziennego, bo żadne pismo w Polsce nie byłoby go w stanie wydrukować...

I jeszcze kilka słów o czymś zupełnie innym. Władysław Machejek pisze na łamach „Życia Literackiego" (nr 50): „Oby doszło kiedyś do takiego stadium rozbrojenia, że rakiety zostaną zamienione na helikoptery w dyspozycji wójta, a czołgi na wozy osobowe..." Życzenie piękne, choć trudno mi sobie wyobrazić techniczną zamianę rakiety na helikopter, a czołgu na samochód. Poza tym na razie nie mamy jeszcze w Polsce wójtów, choć łatwiej z naczelnika zrobić wójta niż z rakiety helikopter. Machejek nie wspomina też, w czyjej dyspozycji miałyby się znaleźć owe czołgi przerobione na samochody osobowe? Może wojewodów?

No i na zakończenie kilka słów o Jacku Maziarskim, który uprawia swą felietonową działkę na łamach tygodnika „Lad". W 30 n-rze zajął się osobą Józefa Piłsudskiego. Oczywiście Maziarski może mieć takie a nie inne zdanie o tej postaci, ale uśmiechnąłem się, kiedy przeczytałem: „Bywam po różnych domach i widzę, że w co drugim mieszkaniu stoi jakaś statuetka Komendanta albo wisi jego portret". Uśmiechnąłem się, bo ja też tu i ówdzie bywam, ale nigdzie, dosłownie nigdzie, w żadnym domu, nie dostrzegłem ani statuetki Komendanta ani jego portretu. Jak z tego wynika, ja odwiedzam tylko te co drugie mieszkania, w których kult Komendanta nie kwitnie. Pechowiec ze mnie, prawda, Jacku?

Wesołych świąt! Szczęśliwego Nowego Roku '88!

M. A. Jaworski

KRONIKA KULTURALNA

● Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Hieronima Łopacińskiego w Lublinie istnieje już 38 lat. Posiadając m.in. bogaty i cenny zbiór książek i czasopism druków ulotnych i rękopisów o treści regionalnej, zaznaczyła się w dziejach naszej kultury jako warsztat pracy licznych pokoleń uczonych, studentów i dziennikarzy. Jubileuszowe spotkanie pracowników biblioteki odbyło się 4 grudnia w sali filharmonii, gdzie też Marię Gawrońską, Aniele Bochnak i Kazimierza Macika udekorowano Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski.

● Wiceprzewodniczący Rady Państwa, Tadeusz Witold Młynczak objął patronat nad inicjatywą zmierzającą do zrealizowania panoramy bitwy pod Kockiem, która stanie w pobliżu pomnika gen. Franciszka Kleeberga. Wstępną dokumentację terenu lokalizacji obiektu opracowuje architekt warszawski, Zbigniew Wilma.

● Pięć lat temu — 21 grudnia 1982 r. — powstał Oddział Lubelski Stowarzyszenia Autorów Polskich, który początkowo skupiał 18 osób a obecnie — 67. Jubileuszowe zebranie Oddziału odbyło się w siedzibie Lubelskiego Towarzystwa Naukowego i tam też otwarto wystawę około 100 książek, sygnowanych przez członków SAP: uczonych, popularyzatorów nauki, publicystów, poetów i prozaików. Podczas zebrania ogłoszono regulamin Nagrody Autorskiej im. Andrzeja Burdy, która przyznawana będzie, począwszy od 1988 r. w dwóch kategoriach: książki naukowej i popularnonaukowej oraz książki publicystycznej i literackiej. Wysokość nagrody w obu kategoriach: po 150 tys. zł.

● Teatr Dramatyczny z Łucka wystawił w Chełmie „Kanotowską wiedźmę" Bogdana Żołdaka w reżyserii Igora Afanasjewa. Białorusy artyści zwiedzili też miasto i spotkali się z władzami województwa.

● Zwracaliśmy kiedyś uwagę na fatalne zaniedbanie dekoracji z lat 30-tych, widniejących jeszcze na fasadach kamienic Starego Miasta w Lublinie. I oto dowiadujemy się, że owe sgraffita i freski będą konserwowane. Bardzo dobrze — tylko w jakim tempie i z jakim skutkiem?

● Hanna i Antoni Gucwińscy opowiadali o zwierzętach, koncerty prowadził Adam Natanek, śpiewała Danuta Damiecka, na fortepianie grali Mieczysław Dawidowicz i Teresa Księska — a wszystko to dla dzieci, które pod opieką rodziców tłumnie przybyły do Filharmonii Lubelskiej, gdzie specjalnie dla nich przygotowano tak atrakcyjny program „mikołajowy".

● „Narkomani" to tytuł wystawy warszawskiego fotoreportera, Erazma Ciołka, która czynna była w grudniu w Zespole Szkół Zawodowych nr 2 w Białej Podlaskiej. Dodajmy, że w archiwum Ciołka znajdują się negatywy i zdjęcia wielu ważnych wydarzeń i zjawisk społecznych oraz politycznych z minionych lat kilkunastu.

● 16 grudnia w zamojskim BWA otwarto imponującą i instruktywną wystawę pt. „Sztuka Książki składki — obwoluta", na której pokazano prace kilkudziesięciu grafików i malarzy. Kogo interesują takie sprawy, ten powinien natychmiast pojechać do Zamościa, gdzie na pewno zostanie życzliwie przyjęty przez dyrektorkę BWA Grażynę Szpyrę. Wspomnijmy jeszcze, że w wystawie uczestniczą najwybitniejsi artyści polscy.

● 13 grudnia w puławskim „Domu Chemika" otwarto I Zimowy Salon Malarstwa Intuicyjnego, by następnie podyskutować sobie na temat stanu i perspektyw amatorskiego ruchu plastycznego.

● Natomiast 17 grudnia w lubelskim BWA przy ul. Narutowicza 4 otwarto wystawę Piotra Kmiecia: „Czarnostany II. Wyczerpany pejzaż. Transfiguracje" którą proponujemy osobom czułym na znaczenia ukryte w wyrafinowanych strukturach formalnych.

● Z żałobnej karty: zmarł w wieku 61 lat red. Jerzy Krankowski związany głównie z „Głosem Budowlanych" i „Kurierem Lubelskim", działacz b. SDP i SD PRL, człowiek skromny, pracowity i uczynny. Cześć Jego pamięci!

Jak się robi dobry interes...

Wiesław Horabik

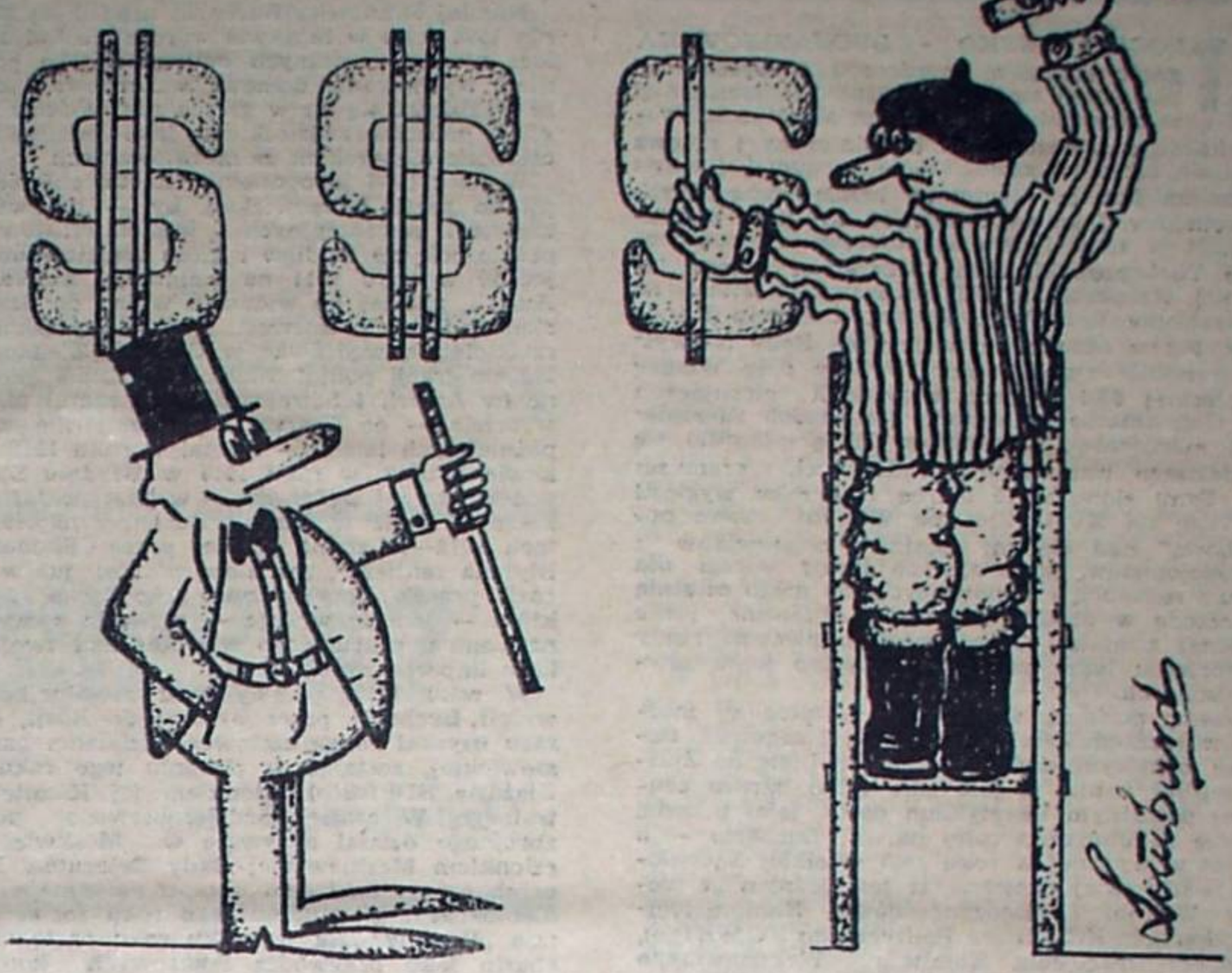

Rys. Zdzisław P. Karpiński

PRZED lubelską „przemysłówką" parkują dobre samochody. W ogóle czuć tu jakoś bardziej powiew wielkiego świata. Niejedna puławska i białostocka fortunka wyrosła także na „Priotinasie". Dzisiaj irackie upały i twardy reżim kontraktu wspominają ludzie nawet z pewną dozą nostalgii. Nie drażni już kierownik — „pierwszy po Bogu", zastępca — nieużyty kapral czy majster jak dawny karbowy. Różnie można robić eksport. Wówczas niejeden pragnął tam, na budowie, by robić go „po krajowemu". Każdy, kto się „załapie", wyciągnie przecież zyski, korzyści czerpie także macierzysta firma, a że z profitami dla państwa bywa bardzo różnie? Nie wszyscy muszą przecież myśleć o takich abstrakcjach. Tymczasem w „Protinasie" stawiano sprawy twardo.

Wiele polskich kontraktów „wychodzi na zero", częściej, niż sądzą niewtajemniczeni, zdarzają się „wpadki" lub zysk nie przekracza paru tysięcy dolarów. Toczą się dyskusje, obradują eksperci. Kraj tymczasem szybko potrzebuje dewiz. Konsorcjum „Protinas-Polimex" stworzyło precedens. Premie za dobrą robotę — po zakończeniu kontraktu — wypłacono w dolarach. Pierwszy to taki przypadek w historii eksportu budownictwa. Z zakładanego zysku 21 proc. ogólnej sumy kontraktu wypracowano 29 proc. Polska zarobiła netto szesnaście milionów dolarów, a dyrektor Konsorcjum medal „Zasłużony dla Polimexu". Niektórzy pracownicy już zapomnieli o tamtych wojażach. Teraz otrzymają „na gwiazdkę" dewizowy prezent.

Jak to się robi? Ano, bardzo prosto. Trzeba tylko najpierw kontrakt dobrze wynegocjować, potem ominąć bariery ograniczające samodzielność, zorganizować właściwe zaplecze, wybrać kompetentnych ludzi i umieć podejmować szybkie, niekonwencjonalne decyzje. W naszym handlu zagranicznym nadal jeszcze nie wiadomo, czy to dużo czy mało. Eksport można wszak robić na rozmaite sposoby: „A może się uda", „Czy się stoi, czy leży"...

— Już wówczas pracowaliśmy na zasadach drugiego etapu reformy — mówi dyrektor Leszek Łukomski. — Bezustannie powtarzałem ludziom, że liczą się tylko osiągnięte zyski. Przyjęliśmy taką zasadę: „Co nie jest wbrew prawu, jest dozwolone". I od początku sprzyjało nam szczęście.

Szczęście w interesach to naprawdę dużo, ale z pozycji ekonomii to wciąż jeszcze abstrakcyjny termin. A jednak nad tym kontraktem czuwała chyba rzeczywiście sprzyjająca aura. Dyrektor nazywa ją splotem pozytywnych zderzeń. Sądzę, że przedsiębiorczość jego i podległych mu ludzi miała w tym przypadku największe znaczenie.

Kiedy Irakijczycy wystąpili z ofertą, był listopad 1980 roku. Boom inwestycyjny i epoka sukcesu w Iraku rozkwitały szeroko. Rząd dysponował pieniędzmi i miał wielkie ambicje. Tender (oferta kontraktowa) opiewał na osiem ferm drobiu w różnych częściach kraju, a szacunkowa wartość inwestycji miała wynosić sto osiem milionów dolarów. Wszystko, co się liczy w europejskim drobiarstwie, wyniuchało interes. Do przetargu wystartował „Lohman" i potężny „Big Dutchman", a także cała plejada innych potentatów. A jednak ten kontrakt trafił w „nasze" ręce. Firma z Bremy „Protinas" (dziewięciu ludzi plus dwie sekretarki) zaproponowała „Polimexowi" (dwa tysiące ludzi, nie licząc sekretarek) ewentualny udział w konsorcjalnej spółce. Sugestie Niemców sięgały głęboko — aż do konkretnego wykonawcy (puławska „przemysłówka"). Współpraca przy budowie fermy bydła w Al-Widha dobrze się zapisała w RFN-owskiej pamięci. Był na początku jeszcze jeden istotny handicap — nowatorski projekt klatek o piramidalnym układzie. Zapewniało to poważną oszczędność na powierzchni „kurników". Właśnie owo usprawnienie miało być asem atutowym i ono, jak można sądzić najbardziej pomogło w wygraniu przetargu. Wątpiący w sens mieszanych spółek powinni śledzić uważnie historię Konsorcjum.

15 lipca 1981 roku podpisano kontrakt. Miała to być szybka inwestycja, zakładająca dwudziestosiedmiomiesięczny cykl realizacji.

Sama formuła konsorcjum zniosła jakby automatycznie niektóre bariery. Zaliczka od klienta (8 proc. wartości kontraktu) trafiła do Mitteleuropeische Handelsbank we Frankfurcie. Uniknięto przetargów z Bankiem Handlowym w Warszawie. Zakupy dewizowe ruszyły pełną parą. Krajowi kontrahenci, czując żywą gotówkę, terminowo realizowali zamówione dostawy. Puławska „przemysłówka" rozszerzyła wykonawstwo na PBP w Lublinie i Białymstoku. 8 grudnia 1981 roku przyleciała do Iraku pierwsza partia załogi.

Bliski Wschód to specyficzny rynek pracy. Obrosły tradycją „bakszyszu" i obwarowany całą masą biurokratycznych zasad. W zderzeniu z naszymi krajowymi zarządzeniami może skutecznie zablokować wiele inicjatyw. Spór o drobne rozliczenia wciąż jeszcze trwa między „Polimexem" a wykonawcą. Tymczasem roboty kontraktowe zakończono w terminie. Żaden dolar kary nie obciążył Konsorcjum. Suma zaś na tę ewentualność zakładała siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów za jeden dzień zwłoki. Trzeba było mieć wyobraźnię, by zza piramidy zakazów bezustannie widzieć właściwe pryncypia. Centrala zainkasowała 2,8 proc. prowizji za pośrednictwo. Nad każdą budową czuwał urząd pełnomocnika „Polimexu".

— Mieliśmy to szczęście, że „Polimex", choć nie pomógł, przynajmniej nam nie zaszkodził — wspomina dyrektor Łukomski. — Jego przedstawiciele także wczuli się w ducha tego kontraktu i rozbieżności między nami, jeśli w ogóle istniały, pojawiały się sporadycznie. Udało nam się także uniezależnić od Biura Branżowego „Polimex — Cekop" w Iraku, kolejnego „pośrednika". Pieniądze mogły więc płynąć bez przeszkód wprost do kasy państwa. Do niedawna uważano, że żadne przedsiębiorstwo nie ma prawa do samodzielnych kontaktów dewizowych. Oznaczało to w praktyce odcięcie firm od zadań eksportowych. Centrale handlu zagranicznego widzą sens swego istnienia w szerokiej rzekomo kadrze wykwalifikowanych ekspertów. Prawda o kwalifikacjach tej kadry bywa wszakże różna, a ludzie naprawdę kompetentni znaleźliby z łatwością zatrudnienie w biurach eksportowych poszczególnych przedsiębiorstw. W handlu zagranicznym nie może istnieć żaden monopolista, a każdy fasadowy pośrednik utrudnia jedynie operatywność kontraktu. Centrala stoi z reguły z boku. To wielkie szczęście, jeśli nie pomagając, przynajmniej nie przeszkadza.

Kiedy 13 grudnia 1981 roku wprowadzono w naszym kraju stan wojenny, zdawało się, że musi to oznaczać polską rezygnację z tak korzystnej transakcji. Tymczasem w WUSW w Lublinie znaleźli się ludzie, którzy dobrze rozumieli istotę spraw nadrzędnych. 27 stycznia 1982 roku wyjechała na budowę kolejna, duża grupa pracowników. Były to wówczas pierwsze „przecieki" za granicę. Droga wiodła via Praga czeska i Kuwejt. („Lot" nie podjął w owym czasie połączeń z Bagdadem). Wśród tej i następnych pracowniczych ekip nie było kelnerów mających udawać zbrojarzy, ani urzędników z cenzusem frezera. Na ten kontrakt trafiało rzeczywiście wszystko, co najlepsze. Także w zakresie sprzętu, zaplecza i energii ludzkiej. Każda z ośmiu budów otrzymała samodzielność, swobodę manewru i objęta została zasadą imiennej odpowiedzialności. Comiesięczne narady w Biurze Kierownictwa Kontraktów nie przekroczyły nigdy półtorej godziny. Nadwyżki mocy przerobowych kierowano na zewnątrz. Wypożyczano sprzęt do pracy chętnemu najemcy. W ten sposób dorobił sobie kontrakt półtora miliona dolarów. W owym czasie był to najlepiej płatny polski kontrakt w Iraku. W okresie szczególnego natężenia robót opracowano własny system akordowy. Późno w noc huczały na budowach pracujące betonownie.

O dyrektorze Łukomskim wszyscy mówią, że to urodzony menedżer. Absolwent Politechniki Wrocławskiej, najmłodszy w swoim czasie dyrektor w resorcie budownictwa (27 lat). Tę opinię o menedżerstwie potwierdzili także Niemcy. Dyrektor stosunkowo rzadko odwiedzał budowy. Dzisiaj mówi, że nie chciał im przeszkadzać w samodzielnej pracy. Nie oznacza to jednak, że coś się wydarzyło poza jego wiedzą. Dyskusje i przetargi na tym kontrakcie nie były nigdy w modzie. Żadna wszakże „ludzka sprawa" nie została pominięta. Kiedy wiosną 1982 roku partyzanci kurdyjscy porwali jedenastu pracowników z budowy Sulaimaniya, specjalny sztab ludzi pracował niemal w systemie całodobowym. Podjęto kontakty z ambasadą i gubernatorem prowincji. Po kilku miesiącach tułaczki, porwani zostali uwolnieni. Cały ruch „rodzinny" spływał do Iraku bez najmniejszych przeszkód. Na decyzje dyrektorskie nigdy nie czekało się długo. Zawsze były też jednoznaczne i pozbawione podtekstów. A przecież kontrakt, choć tak korzystny, nie był samą idyllą. Budowy realizowano w kraju prowadzącym wojnę.

Na początku 1983 roku Konsorcjum dawało pełną gwarancję ukończenia robót w terminie. Korzystając z poprzednich doświadczeń, uniezależniono się także od lokalnego transportu. Uniknięto w ten sposób możliwości swoistego szantażu. Nieraz bowiem bywało w przeszłości, że korzystny z pozoru kontrakt przeradzał się po jakimś czasie w szczególną pułapkę. W miarę rozkręcania robót miejscowy kontrahent zaczynał mnożyć żądania i zmieniać wynegocjowane warunki. Umowa z krakowskim oddziałem „Transbudu" okazała się przysłowiową manną z nieba. W dobie zastoju inwestycyjnego w kraju i nadwyżki zatrudnienia, pochwyciło przedsiębiorstwo skutecznie swą ogromną szansę. Sto jednostek transportowych przybyło do Iraku, by przewieźć trzy miliony ton materiałów sypkich.

Ale tamten okres był także czasem eskalacji wojennego konfliktu. Pojawiły się na irackim rynku trudności finansowe i klient zwrócił się do „Protinasa" (on był liderem w Konsorcjum) o przedłużenie terminu kontraktu o dziewięć miesięcy, a w jakiś czas potem o następne sześć. Dla polskiej strony była to sytuacja bardzo niekorzystna. Oznaczała bowiem konieczność zwolnienia tempa robót oraz zredukowania stanu liczebnego pracujących załóg. Część sprzętu budowlanego musiała także powrócić do kraju. A jednak i taki układ mieścił pozytywy. Właśnie wówczas zaczął się bowiem opóźniać z dostawami nasz niemiecki partner. Zawiodła widać w tym etapie przysłowiowa dokładność, a wyższość organizacyjna i gospodarcza przypadła naszej stronie. Powiedzonko „Polak potrafi" utraciło w tym przypadku swój hasłowy wymiar. Zbieżność irackich kłopotów z niemieckimi potknięciami okazała się dla nas w konsekwencji sprzyjającym faktem.

Trudno w epoce zapotrzebowania na demaskatorskie teksty pisać o sukcesie. Trzeba więc powiedzieć, że wypłynęły i na tym kontrakcie kosmetyczne braki. Złą jakość asfaltu przypisano polskiej stronie, choć wykonywał go w całości lokalny kontrahent. Psuły się niemieckie wentylatory, a instalacja elektryczna ujawniła usterki. Poprawiano te wszystkie drobiazgi w okresie „maintenance'u" (okres gwarancyjny). Roboty zakończono w całości w wynegocjowanym ostatecznie terminie — 15 marca 1985 roku.

Obecnie, po dokonaniu ostatecznych rozliczeń, uznano, że był to najlepszy i najefektywniejszy dewizowo kontrakt na roboty budowlano-montażowe w historii „Polimex-Cekop". Stąd wspomniana na wstępie „dewizowa gwiazdka".

Białe plamy

„TROCKISTOWSKO - BUCHARINOWSKA garść szpiegów, morderców i szkodników, płaszcząca się przed zagranicą, przesiąknięta niewolniczym uczuciem służalczości wobec każdego zagranicznego urzędniczyny i gotowa pójść do niego na szpiegowskie wysługi [...] komu potrzebna jest ta nikczemna banda sprzedajnych niewolników, jaką wartość może ona mieć dla ludu [...]? W roku 1937 skazani zostali na rozstrzelanie Tuchaczewski, Jakir, Uborewicz i inne łotry [...]. Na początku 1938 roku skazani zostali na rozstrzelanie Rozenholc, Rykow, Bucharin i inne łotry. Potem odbyły się wybory do Rady Najwyższej republik związkowych. Wybory dały Władzy Radzieckiej 99,4 procent wszystkich głosujących [...]. Oczyszczenie organizacji radzieckich od szpiegów, morderców, szkodników [...] przyczyniło się do dalszego wzmocnienia (radzieckich) organizacji". Tymi słowami 10 marca 1939 roku wygłosił J. Stalin na XVIII Zjeździe WKP(b) „mowę pogrzebową" nad ciałami ostatnich bolszewików i rewolucjonistów, posiadających liczne zasługi dla kraju i rewolucji i stanowiących dla niego ostatnią przeszkodę w drodze do władzy absolutnej i nie dzielonej z nikim. Odtąd mógł sprawować rządy w otoczeniu ludzi małych i wszystko jemu zawdzięczających.

Główną postacią wśród tych „szpiegów, morderców i szkodników" był Nikołaj Iwanowicz Bucharin, o którym kiedyś w słynnym liście do Zjazdu napisał Lenin, iż jest „nie tylko bardzo cennym i poważnym teoretykiem partii, (ale) uchodzi słusznie za ulubieńca całej partii". Bucharin — o którym w wydanej w roku 1927 Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej napisano, iż jest jednym „z wodzów WKP(b) i Międzynarodówki Komunistycznej, członkiem KC i Biura Politycznego KC WKP(b), członkiem Prezydium Komitetu Wykonawczego Kominternu, redaktorem centralnego organu partii »Prawda«, członkiem Centralnego Komitetu Wykonawczego ZSRR, jednym z kierowniczych uczestników Rewolucji Październikowej, wybitnym teoretykiem komunizmu, ekonomistą i socjologiem".

Kim był człowiek, który wspiął się na sam szczyt władzy największego państwa na świecie, zajmując tam przez ponad 10 lat jedno z czołowych miejsc, a przez kilka lat nawet miejsce drugie, by zostać strąconym na samo dno, poddanym długiemu i poniżającemu „śledztwu", w trakcie którego „przyznał się" (po krótkim trzymiesięcznym oporze) do nie popełnionych win i błędów, do prawie wszystkiego, czego od niego żądano i by wreszcie w pokazowym procesie zostać skazanym na śmierć przez rozstrzelanie, co wykonano natychmiast po zakończeniu procesu 15 marca 1938 roku?

Ocena jego postaci jest jeszcze dziś rzeczą niezmiernie trudną. Z jednej strony — ciążą na nim nadal zarzuty sfabrykowane przeciw niemu w latach 1929—38, a zwłaszcza 1937—38, brak oficjalnej rehabilitacji, zakaz wznawiania druku książek i artykułów, przy których pomocy mógłby się bronić sam. Fakty te powodują, że wielu jawi się on jako wróg partii komunistycznej i socjalizmu, intrygant itp., jakiego przedstawił w marcu 1938 roku sądowi prokurator generalny ZSRR Andriej J. Wyszyński. Z drugiej strony — rodzi się naturalna tendencja do przypisywania człowiekowi, tak jak Bucharin skrzywdzonemu, zalet, których nie posiadał, oraz myśli i czynów, które czynią z niego nadczłowieka. Osąd obiektywny jest w przypadku Bucharina tym bardziej trudny, że głoszone przez niego poglądy, nie zawsze do końca jasne w historycznym kontekście, a także działalność, rozminęły się pod koniec lat dwudziestych z linią polityczną partii bolszewickiej i gdyby nie tragiczny, nie zawiniony koniec, odeszłyby spokojnie do historii i wzbogaciły dorobek myśli socjalistycznej.

Nikołaj Iwanowicz Bucharin urodził się 27 września 1888 roku w Moskwie w rodzinie kulturalnych, lecz niezbyt zamożnych nauczycieli. To pochodzenie i wychowanie domowe spowodowało zapewne, że wyróżniał się on w gronie przywódców rewolucji i państwa radzieckiego jako intelektualista i człowiek o szerokich zainteresowaniach.

W roku 1906 jako osiemnastoletni chłopiec wstąpił do partii bolszewickiej, by — jak wielu ówczesnych rewolucyjnych intelektualistów — po próbie odbycia studiów i kilku aresztowaniach wyjechać w roku 1911 na emigrację; najpierw do Austrii, później po wybuchu wojny do Szwajcarii; stąd do Szwecji, Norwegii i Anglii, by zakończyć tę sześcioletnią wędrówkę w Stanach Zjednoczonych. Na emigracji podjął intensywne studia ekonomiczne (w Austrii i Szwajcarii), tam zaczął pisać, tam wreszcie — co okazało się niezmiernie ważne w późniejszych latach — poznał w roku 1912 w Krakowie Lenina, w roku 1914 w Wiedniu Stalina i pod koniec tej wędrówki — w Nowym Jorku Trockiego. Właśnie w Austrii Bucharin napisał w latach 1912—14 znaną później pracę „Ekonomia polityczna rentiera", zaś nieco później, już w Szwajcarii, pracę: „Imperializm i gospodarka światowa", która — jak się wydaje — wywarła spory wpływ na Lenina, pracującego wówczas nad swoją książką o imperializmie.

W roku 1917, po wybuchu rewolucji lutowej, wrócił Bucharin przez Syberię do Rosji, gdzie id razu uzyskał rangę czołowego działacza partii bolszewickiej, zostając w sierpniu tego roku na VI Zjeździe SDPRR(b) członkiem jej Komitetu Centralnego. W czasie październikowego powstania zbrojnego działał aktywnie w Moskwie, będąc członkiem Moskiewskiej Rady Delegatów Robotniczych oraz redaktorem organu partyjnego „Socjaldiemokrat". W grudniu tego roku został redaktorem „Prawdy". Na początku roku następnego Bucharin jako przywódca lewicowych komunistów wystąpił przeciw podpisaniu traktatu brzeskiego. Uważali oni jakiekolwiek porozumienie z kapitalizmem za kapitulację i zdradę interesów klasy robotniczej, co w ówczesnej, niezmiernie trudnej, sytuacji ocenione być mogło nie inaczej jak awanturnictwo polityczne.

W marcu 1919 na VIII Zjeździe RKP(b) (nazwę partii zmieniono w roku 1918) wraz z Leninem, Trockim, Stalinem i Kamieniewem został Bucharin członkiem Biura Politycznego KC. Brak odpowiedniej elastyczności w myśleniu i działaniu oraz nadmierny chyba pragmatyzm wywołały jednak spięcie Bucharina z Leninem w czasie wielkiej debaty na temat roli zadań związków zawodowych w państwie dyktatury proletariatu. W czasie tej debaty Bucharin poparł stanowisko Trockiego, domagającego się poddania związków kontroli państwa i militaryzacji, co w ówczesnej sytuacji niskiej dyscypliny pracy i znacznego rozprzężenia gospodarki było stanowiskiem realistycznym, choć mogącym prowadzić do nieobliczalnych następstw w przyszłości. „Stopniowe skupienie w rękach związków całkowitego zarządu produkcji, jak postuluje nasz program — głosił zgłoszony wówczas przez Bucharina, Trockiego i innych projekt uchwały — oznacza planowe przekształcenie związków w organy państwa robotniczego, czyli stopniowe zrastanie się organów związkowych z organami państwowymi".

W czasie X Zjazdu RKP(b) (8—16 marca 1921 roku) proklamowane zostało przejście do nowej polityki ekonomicznej, tzw. NEP-u, mającej doprowadzić do ożywienia zniszczonej w czasie wojny domowej gospodarki, a zwłaszcza rolnictwa. Operacja była niezmiernie poważna i ryzykowna. Dlatego wielu komunistów potraktowało ją jako zdradę rewolucji i „generalne odstępstwo partii od zasad socjalizmu". W tej sytuacji zdecydowano się na przeprowadzenie w partii „czystki", w czasie której odeszło z niej ponad 140 tys. członków, tj. prawie jedna czwarta składu; znaczna ich część zresztą sama złożyła legitymacje partyjne niedługo po zjeździe.

Stanowisko Bucharina wobec nowej polityki ekonomicznej było przez długi czas niezmiernie ostrożne i podejrzliwe, uważał on bowiem wówczas, iż gospodarstwo rolne musi być głównym źródłem socjalistycznej akumulacji pierwotnej. Na XI Zjeździe, w którym nie brał udziału, jego „inteligenckie podejście do kwestii kapitalizmu państwowego" zostało ostro skrytykowane przez Lenina. Na Zjeździe XII (kwiecień 1923 roku) Bucharin wystąpił przeciwko Krasinowi, który proponował „pogłębienie" NEP-u przez daleko idące ustępstwa wobec krajów kapitalistycznych, aby dzięki temu uzyskać kredyty. Sam Bucharin jednak wystąpił wówczas z propozycją ograniczenia państwowego monopolu handlu zagranicznego, co wywołało polemikę ciężko już chorego Lenina, który wystosował w związku z tym do Plenum KC list zatytułowany: „O monopolu handlu zagranicznego". „W praktyce — pisał Lenin — Bucharin staje w obronie spekulanta, drobnego burżuja i górnych warstw chłopstwa przeciw proletariatowi przemysłowemu, który absolutnie nie jest w stanie odbudować swojego przemysłu [...] jeśli nie będzie się tego chroniło [...] tylko i wyłącznie monopolem handlu zagranicznego".

Początek lat dwudziestych przyniósł trzy ważne książki Bucharina: w roku 1920 wyszła napisana wspólnie z J. Preobrażenskim „Azbuka kommunizma" oraz najbardziej znane chyba dzieło Bucharina: „Ekonomika pieriechodnogo pierijoda", w roku 1921 — „Tieorija istoriczieskogo matierializma", wydana w 1927 roku także w języku polskim.

Lata 1924—28 są szczytowym okresem w karierze politycznej Bucharina, działającego w ścisłej — jak się wydaje — współpracy ze Stalinem, przy czym Bucharin staje się po śmierci Lenina głównym teoretykiem partii. Jest to jednocześnie, po „kryzysie zbytu" z lat 1923—24, okres tzw. nowego etapu nowej ekonomicznej polityki, mającej być generalnym zwrotem ku chłopskiemu rolnictwu jako podstawie radzieckiej gospodarki. Bucharin jest wówczas najważniejszym obok Stalina członkiem Biura Politycznego, a od roku 1926, po usunięciu z tego stanowiska Zinowiewa, także przewodniczącym Międzynarodówki Komunistycznej.

17 kwietnia 1925 roku, na zebraniu aktywu partyjnego Moskwy, w przemówieniu zatytułowanym: „O nowej polityce ekonomicznej i jej zadaniach" Bucharin, główny już wówczas orędownik tej polityki, rzuca hasło: „Bogaćcie się" które, przedrukowane przez „Prawdę", „Bolszewika" i inne pisma, obiega wkrótce cały kraj, stając się głównym zawołaniem tych wszystkich, którzy żądają przejścia do drugiego etapu nowej polityki ekonomicznej; etapu mającego wyrwać kraj z zastoju, z sytuacji, kiedy — jak napisał Bucharin — w sklepach poza hasłem: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się" nic właściwie nie ma. Łagodna polityka wobec wsi i znaczne nakłady finansowe na rolnictwo przynoszą spodziewane rezultaty, ale nie odczuwa ich robotnik przemysłowy, pracujący w coraz trudniejszych warunkach, co stanie się zapewne przyczyną późniejszego gwałtownego zwrotu.

Bucharin, czołowy w tym czasie teoretyk partii i realizowanego przez nią NEP-u oraz drugi obok Stalina przywódca proponuje wówczas odrzucenie doświadczeń komunizmu wojennego i uznanie, że „budownictwo socjalizmu w istocie rzeczy zaczęło się dopiero od NEP-u". Jego pozycja w partii i państwie radzieckim skutecznie tłumi przy tym głosy sceptyków, takich jak Zinowiew, Krupska i in., którzy zarzucają mu „próbę ogłoszenia NEP-u za socjalizm", bądź jak Kamieniew, który zarzuca Bucharinowi zamazywanie różnic między NEP-em a socjalizmem. „NEP — stwierdził wówczas Zino-

Za kulisami drugiej wojny światowej

Menażeria fuehrera

Adjutant feldmarszałka Ericha von Mansteina Alexander Stahlberg, w „fascynującej" jak ją określa dziennik „BERLINER MORGENPOST", książce pt. „Przeklęty obowiązek" („Die verdammte Pflicht") opisuje Hitlera i jego otoczenie. Oto fragment wspomnień adjutanta.

W NOCY z 16 na 17 lutego 1943 r. po północy wyrwał mnie ze snu telefon. (Kwaterę Główną grupy armii przeniesiono tymczasem ze Stalina do Zaporoża) Na drugim końcu zgłosił się pułkownik Gerhard Engel, adjutant Hitlera: „Fuehrer właśnie zdecydował, że za parę godzin poleci do naczelnego dowództwa grupy armii Fuehrer zamierza pozostać w grupie armii trzy dni. Proszę zarządzić wszystko co potrzeba. Proszę powtórzyć" Powtórzyłem, dodając pytanie ile osób będzie towarzyszyło fuehrerowi. Engel odpowiedział: „Trzeba się liczyć ze stu osobami".

Około południa (następnego dnia) przez miasto ruszyła na powitanie Hitlera długa kolumna samochodów. Manstein i ja siedzieliśmy z tyłu jego dużego otwartego samochodu terenowego.

Na lotnisku samochody ustawiono według rangi i godności pasażerów. Po paru minutach na horyzoncie ukazały się dwa, lecąc tuż jeden za drugim, samoloty Focke-Wulf Condor i zniżyły się do lądowania.

Hitler kazał na siebie czekać, zanim pojawił się w drzwiach samolotu. Miał na sobie ciemny płaszcz skórzany. Manstein powitał go swą buławą marszałkowską. Tylko Manstein został przywitany przez podanie ręki, reszta przez uniesienie ramienia w górę.

Przez dobrych kilka minut Hitler zachowywał się tak, jakby nie miał zamiaru podejść do samochodu, stojącego o jakieś trzydzieści metrów dalej: zamiast tego wdał się w rozmowę z feldmarszałkiem i jego szefem sztabu generalnego Bussem. Mój wzrok padł, właśnie wtedy na drugiego Condora: zobaczyłem dużą grupę SS-manów biegnących do naszej kolumny samochodów; jak tylko wsiedli samochody szybko pomknęły w kierunku miasta. A więc zwłoka w naszym odjeździe najwyraźniej była zaplanowana.

Już w godzinę później dowiedziałem się o przyczynie tego manewru: SS-mani błyskawicznie opróżnili pokoje, przygotowane przeze mnie dla Hitlera, ze wszystkich mebli i każdą sztukę zbadali na korytarzu od zewnątrz i od wewnątrz by dopiero potem postawić je znów na miejsce.

Po jakimś kwadransie Hitler w towarzystwie feldmarszałka i naszym udał się wreszcie wolnym krokiem do samochodów. Bez przygód dotarliśmy do Kwatery Głównej.

Manstein i ja zaprosiliśmy Hitlera do przygotowanych dlań pokojów. Teraz feldmarszałek miał okazję, by przedstawić Hitlerowi swojego oficera ordynansowego. Hitler podał mi rękę, ale nie był to uścisk dłoni. Miałem wrażenie jakbym dotknął gąbki.

Potem Hitler rozpiął swój skórzany płaszcz i pozwolił, żebym go odebrał od niego. Stwierdziłem przy tym z odrazą, że silnie cuchnęło mu z ust. Powiesiłem płaszcz na wieszaku i mógłbym się założyć, że w kieszeniach — znowu jak w styczniu 1933 r. — tkwiły dwa pistolety albo też pod podszewką płaszcza była kamizelka kuloodporna. W każdym razie płaszcz był niezwykle ciężki.

Manstein i ja byliśmy teraz wolni; na korytarzu, w którym roiło się od oficerów i SS-manów wszelkich stopni, przywitało się z nami dwóch tam czekających ludzi: z Mansteinem — główny adjutant Hitlera gen Schmundt, a ze mną — bardzo korpulentny od wielu dni nie golony, niechlujny mężczyzna w fantazyjnym szarym mundurze. Przedstawił mi się jako profesor Morell lekarz osobisty fuehrera

Theodor Morell spytał mnie, czy w Zaporożu jest rzeźnia: tego dnia bowiem było mu potrzebne cielę z którego jeszcze ciepłego ciała chciał wyjąć pewne gruczoły. W razie potrzeby dziś musiałoby się specjalnie zarżnąć cielaka, ponieważ Morell potrzebował świeżych gruczołów do terapii, której nie można przerywać. Poprosiłem go o trochę cierpliwości, obiecując, że spróbuję załatwić to telefonicznie.

Zaledwie to powiedziałem, znów wydarzyło się coś niezwykłego. Od strony klatki schodowej posuwała się w naszą stronę wielka, pomalowana na ciemny kolor, drewniana skrzynia. Mogła mieć objętość około jednego metra sześciennego. W czterech jej rogach były uchwyty. Niosło ją czterech SS-manów,

wiew — jest jedynie drogą do socjalizmu, socjalizmem NEP jednak nie jest".

Formułuje w tym czasie Bucharin, dokonując pewnej reinterpretacji programu Lenina, swoją wizję uspółdzielczenia wsi. Rolnictwo rosyjskie winno w drodze do socjalizmu przejść, jego zdaniem, szereg etapów: etap spółdzielni zrzeszających środki produkcji członków, etap spółdzielczych towarzystw kredytowych powoływanych dla potrzeb inwestycyjnych rolnictwa, etap spółdzielni zbytu i dopiero na końcu tej drogi etap spółdzielni produkcyjnych. „Od uspołecznionych zakupów i uspołecznionej sprzedaży — pisał przy tym Bucharin — od wspólnych organizacji kredytu chłopi będą stopniowo przechodzić do organizowania swych spółdzielczych zakładów i fabryk przetwarzających produkty gospodarki rolnej". Uspółdzielczeniu powinien poddać się — jego zdaniem — najłatwiej chłop średniak i na niego w procesie kolektywizacji należy postawić. Gospodarstwa kułackie należy natomiast podporządkować systemowi socjalistycznemu głównie poprzez zawiązywanie wśród nich

cieli opozycji lewicowej; wrócili do niej Kamieniew, Piatakow, Preobrażenski, Zinowiew i wielu innych. Dni Bucharina jako działacza politycznego wysokiej rangi były już policzone.

W roku 1929 poniósł on, jak sam to określił, śmierć cywilną. Na Plenum KC w kwietniu tego roku potępił go w referacie pt. „O odchyleniu prawicowym w WKP(b)" Stalin; opublikowano wówczas także niezbyt przychylne Bucharinowi, napisane jeszcze w roku 1920, uwagi Lenina na marginesie książki „Ekonomika pieriechodnogo pierijoda"; ogłoszono wreszcie ten fragment sławnego, cytowanego już listu Lenina do Zjazdu, w którym mówi on o Bucharinie. „Jego poglądy — pisał Lenin — mogą być tylko z bardzo dużymi zastrzeżeniami zaliczone do poglądów całkowicie marksistowskich, ponieważ jest w nich coś scholastycznego (nigdy nie uczył się, jak sądzę — pisał dalej Lenin — i nigdy nie rozumiał on dialektyki)".

Pod koniec 1929 roku został Bucharin usunięty z Biura Politycznego KC i wszystkich ważnych stanowisk w partii i państwie radzieckim; cała i nie-

go, co zresztą nie przeszkodziło Stalinowi w skazaniu go na śmierć i rozstrzelaniu jeszcze w roku 1937, a więc rok wcześniej niż uczynił to z Bucharinem.

W latach 1929—37 pełnił Bucharin szereg ważnych, choć mniej eksponowanych funkcji partyjnych i państwowych. Pozostaje zastępcą członka KC, zostaje kierownikiem Instytutu Historii Nauki i Technologii Akademii Nauk ZSRR i w tej roli bierze w 1931 roku udział w poświęconej polityce naukowej międzynarodowej konferencji w Londynie. W latach 1930—34 pracuje jako kierownik sekcji planowania badań naukowych Najwyższej Rady Gospodarki Narodowej oraz w Ludowym Komisariacie Przemysłu Ciężkiego. W lutym 1934 roku, w środku trwającej od połowy roku 1933 do grudnia 1934 roku (a więc do zabójstwa Kirowa) odwilży, zostaje redaktorem naczelnym „Izwiestii", gdzie publikuje szereg artykułów poświęconych głównie technice, naukom przyrodniczym i literaturze. W sierpniu tego roku bierze udział w I Zjeździe Pisarzy Radzieckich, gdzie wygłasza ważny referat będący próbą materialistyczno-historycznej analizy dziejów, stanu oraz perspektyw rozwojowych poezji radzieckiej.

Na VII Zjeździe Rad w 1935 roku powołany został Bucharin w skład komisji przygotowującej nową konstytucję radziecką; na czele komisji stał Stalin. Udział Bucharina w opracowaniu projektu konstytucji był, jak się wydaje, znaczący, ponieważ niejednokrotnie twierdził on, iż projekt ten napisał sam, z niewielką jedynie pomocą K. Radka.

W lutym 1936 roku odbył Bucharin ostatnią podróż zagraniczną; wyjechał mianowicie do Paryża na negocjacje z niemieckimi socjaldemokratami i przebywającymi na emigracji mieńszewikami w sprawie zakupu Archiwum Marksa. Spotkał się wówczas z przywódcą mieńszewików Fiodorem Danem, któremu wyznał, co myśli o Stalinie i swojej przyszłości. „To mały, niegodziwy człowiek [...] nie, nie człowiek, szatan — powiedział Danowi — jest on jednak czymś w rodzaju symbolu partii [...] a ludzie wierzą mu. My (starzy bolszewicy) jesteśmy za to prawdopodobnie odpowiedzialni sami [...] i dlatego [...] wczołgujemy się (wszyscy) do jego paszczy, wiedząc na pewno, że nas pożre".

W lutym 1937 roku został Bucharin aresztowany i poddany śledztwu, w czasie którego „przyznał się" do najbardziej nieprawdopodobnych zarzutów i sam prosił o karę śmierci, aby odkupić swoje „monstrualne" czyny. Odrzucił jednak zarzut spiskowania oraz szkodzenia partii i państwu radzieckiemu. Nie miało to wszystko większego znaczenia. Bucharin i dwudziestu innych „starych bolszewików", a wśród nich Rykow, skazanych zostało na śmierć przez rozstrzelanie; wyrok wykonano 15 marca 1938 roku, tuż po zakończeniu procesu.

W ten sposób odszedł ostatni wielki bolszewik i u steru rządów pozostał Stalin, nie dzielący już z nikim władzy ani zasług. Rozpoczął się ponury okres stalinizmu i stalinowskiego socjalizmu, będącego wypaczeniem socjalizmu, o który walczyli bolszewicy i działacze innych ruchów robotniczych.

Bucharinowi przyszło żyć w niezmiernie ciekawych i burzliwych czasach, czasach rewolucji i gruntownej przebudowy gospodarki i społeczeństwa radzieckiego. Burzliwe też i pełne treści było jego życie, tragiczny — jak wielu „dzieci rewolucji", przez rewolucję pożeranych — koniec. Był intelektualistą, ale zarazem pragmatykiem. W pewnym okresie uchronił, być może, Kraj Rad od woluntaryzmu gospodarczego. Nowa ekonomiczna polityka, której od 1925 roku był patronem i której los stał się jego losem, mimo wielu niekonsekwencji i błędów pozwoliła państwu radzieckiemu przetrwać najtrudniejszy okres i — mimo wszystko — stworzyć podstawy materialne dla przyszłej industrializacji. Ale dorobek jego życia, ewolucja jego myśli i dzieła czekają jeszcze na odkrycie, a jego postać na właściwą oraz pozbawioną emocji i dwuznaczności ocenę.

KIM BYŁ BUCHARIN?

Jan Waszczyński

spółdzielczych towarzystw kredytowych współpracujących z państwowym bankiem. Dzięki temu „kułackie gniazda spółdzielcze także będą wrastać w ten system". Idee te zawarł Bucharin w broszurze „Droga do socjalizmu i sojusz robotniczo-chłopski".

Po usunięciu ze stanowisk partyjnych i państwowych przedstawicieli tzw. nowej opozycji, a więc grupy Zinowiewa, Kamieniewa i in., którzy przeciwstawiali się „pogłębianiu" NEP-u, odchodzą ostatni przeciwnicy NEP-u w nowej, pogłębionej postaci i utożsamianego wówczas z NEP-em Bucharina. Jest on wówczas u szczytu potęgi.

W roku 1928 następuje zmiana polityki gospodarczej wobec wsi. Co prawda, jeszcze w lipcu tego roku Plenum WKP(b) (w 1925 roku nastąpiła ponowna zmiana nazwy partii) „odrzuciło stanowczo kontrrewolucyjną paplaninę o zaniechaniu NEP-u", co prawda z podobnymi oświadczeniami występowali wówczas dwaj najważniejsi ludzie w państwie: Stalin i Bucharin, odwrót jednak został postanowiony. Dokonywał się wbrew Bucharinowi, który w opublikowanych we wrześniu tego roku „Uwagach ekonomisty" postulował „natychmiastowe ożywienie indywidualnych gospodarstw rolnych i zmniejszenie tempa industrializacji", którą w zasadzie dopiero zaczynano. Nawoływania Bucharina do zaniechania wobec chłopów przymusu pozaekonomicznego nie znalazły już posłuchu. W 1928 roku skup produktów rolnych przeprowadzono przymusowo w oparciu o sławny artykuł 107.

W rezultacie w kraju rozpoczęły się akty terroru, na urzędnikach skupu i aktywistach dokonywano aktów przemocy, było wiele zabójstw. W tej atmosferze politycznej do partii zaczęto na powrót przyjmować usuniętych w roku 1926 przedstawi-

podzielna władza przeszła w ręce Stalina. Błędem jednak byłoby, jak sądzę, traktowanie odejścia Bucharina jedynie jako rezultatu intryg, prącego do absolutnej władzy z żelazną konsekwencją i bezwzględnością oraz siłą tarana, Stalina, z czego w kręgach przywódczych zdawano sobie dobrze sprawę. („Ten Czyngis-chan — powiedział w lipcu 1929 roku Bucharin do Kamieniewa — zniszczy każdego, kto stoi na jego drodze"). Rok ten był bowiem już drugim rokiem przestawiania zwrotnic gospodarki radzieckiej na inne niż w latach NEP-u tory i pociąg, którego biegiem kierował do tej pory wspólnie ze Stalinem Bucharin, brał ostry zakręt, by zmienić kierunek jazdy. Kraj, który odbudował w znacznym stopniu rolnictwo, musiał podjąć dzieło industrializacji, polityka bowiem NEP-u w tej dziedzinie nie przyniosła spodziewanych rezultatów.

Przemysł ulegał procesowi dekapitalizacji i nie mógł osiągnąć nawet poziomu zatrudnienia i produkcji z roku 1913. Pauperyzacji ulegała klasa robotnicza, która dokonała rewolucji i która teoretycznie przynajmniej sprawowała władzę w radzieckim państwie dyktatury proletariatu. Odbudowa i rozbudowa przemysłu stała się w tej sytuacji koniecznością, warunkującą dalszy los kraju. Środków dla tej industrializacji dostarczyć mogła jednak jedynie wieś, i to nie wieś nepowska, ale — jak sądzono — wieś skolektywizowana i poddana ścisłemu nadzorowi państwa, wieś, która mogłaby dać tyle środków, ile było to potrzebne rozwijającemu się przemysłowi. Bucharin, właściwy twórca i realizator nowej polityki ekonomicznej, przestał być potrzebny; triumf święcić zaczynała teoria socjalistycznej akumulacji pierwotnej J. Preobrażenskie-

piąty szedł przed nimi. Poprosił on feldmarszałka i inne stojące tam osoby, żeby na chwilę odsunęły się na bok.

Potem piąty otworzył drzwi do toalety i — podczas gdy wypłynęła ku nam stamtąd chmura woni świeżego karbolu — tragarze wraz ze swoim ciężarem zniknęli w tej tak pięknie pachnącej części tego piętra. Kiedy drzwi znowu się zamknęły, Manstein zapytał gen. Schmundta: „Co to było?" Z pewnym zakłopotaniem Schmundt odpowiedział, że był to nowy suchy klozet fuehrera.

Na schodach nadal był ruch jak na stacji metra. Wnoszono na górę mnóstwo skrzyń i koszów i prof. Morell wyjaśnił, że jest to wyposażenie prywatnej kuchni fuehrera i zapasy żywności dla niego. W przypływie dumy dodał, że cała kuchnia wraz z personelem podlega jego kontroli.

W moim pokoju pojawił się tymczasem porucznik Feil, prowadzący nasz dziennik wojenny. Dowiedziałem się od niego, że na drugim lotnisku, na przeciwległym brzegu Dniepru, wylądowały następne samoloty. Liczba stu osób towarzyszących została już znacznie przekroczona.

Feil i ja staliśmy przy oknie, kiedy za nami otwarły się drzwi od korytarza. Do pokoju wszedł dość okrągły generał. „Nazywam się Choltitz — przedstawił się i zapytał: — powiedzcie mi, moi panowie, dlaczego tu wszyscy są tak podnieceni?".

Powiedziałem, że to przypuszczalnie obecność fuehrera powoduje tu i ówdzie nerwowość. „Tak sobie myślałem! — wyrwało się Choltitzowi. — A więc to rzeczywiście prawda. Niech mi pan powie, jakżeż się pan nazywa, niech mi pan powie, Stahlberg, gdzie jest fuehrer?"

Odparłem, że przypuszczalnie fuehrer znajduje się w tej chwili dokładnie nad nami, bo nad tym pokojem jest jego gabinet.

Była to chyba chwila, w której Dietrich von Choltitz postanowił ujawnić swój talent swego rodzaju błazna dworskiego: „Co za podniosłe uczucie! — wykrzyknął. — Fuehrer dokładnie nad generałem Choltitzem — nie do wiary!"

Potem spytał, czy widziałem już fuehrera „oko w oko". Gdy potwierdziłem, powiedział: „Ja nie. Niech mi pan pomoże spotkać się z nim. Stale się słyszy, że on ma takie promienne niebieskie oczy i że spojrzeć w te oczy, to coś wspaniałego!"

Kiedy z możliwie niewzruszonym obliczem określiłem tego rodzaju „pomoc" jako raczej nie mającą widoków na powodzenie, podszedł nagle do okna i spytał czy wiem, kiedy fuehrer wychodzi na spacer. Powiedziałem, że nie mam pojęcia i że raczej nie mogę sobie wyobrazić, żeby tu, w Zaporożu, w ogóle wychodził na spacer.

Ale Choltitz coraz bardziej się bawił rolą błazna: „Czy widzi pan ten cokół tam na dole?" Był to biały cokół, jakie w Rosji stały w każdej miejsco-

wości przed urzędami, a na nich znajdowały się gipsowe popiersia Lenina. Tam, gdzie pojawiły się wojska niemieckie, popiersia natychmiast znikały z cokołów. Tutaj było tak samo.

„Wie pan, Stahlberg, natura poszkodowała mnie niestety, obdarzając mnie niskim wzrostem. Dlatego bardzo pana proszę, żeby mi pan w porę dał znać, kiedy fuehrer będzie wychodził z budynku. Wtedy mianowicie, zanim wyjdzie, ja wlezę na cokół i będę tam stał, kiedy nadejdzie. Tam nie będzie mógł nie zauważyć Choltitza!"

Jeszcze raz mu się sprzeciwiłem, mówiąc, że, po pierwsze, trzeba by mieć drabinę, żeby się wspiąć na cokół, a po drugie, trzeba by być odpornym na zawroty głowy. Choltitz spojrzał na mnie z rozbawieniem i powiedział: „Drabinę już by się zdobyło, ale niestety wcale nie jestem wolny od zawrotów głowy".

Było to niezapomniane spotkanie z niezapomnianym człowiekiem: gen. von Choltitz, jako niemiecki komendant miasta Paryża, otrzymał od Hitlera 23 sierpnia 1944 r. rozkaz, by przed wejściem aliantów obrócić miasto w gruzy. Oddał jednak Paryż nie zniszczony.

W ciągu tych trzech dni mieliśmy z Hitlerem pięć narad o sytuacji. Na naszym piętrze roboczym, tzn. piętro niżej od pokojów Hitlera, urządzono w tym celu dużą salę. Na środku stał, jak zwykle, stół z mapami, wokół którego gromadzili się obecni. U szczytu po lewej stronie — podobnie jak w Wilczym Szańcu — siedzieli stenografowie z Reichstagu.

Pierwsza narada odbyła się wkrótce po przybyciu Hitlera 17 lutego. Do Zaporoża przyjechał także gen. Zeitzler. Manstein stał razem z nim w drzwiach wejściowych, gdy pojawił się gen. Schmundt, zapowiadając nadejście Hitlera. Ceremonia ta była taka sama jak w Prusach Wschodnich.

Wprawdzie widziałem już tego dnia Hitlera na lotnisku i gdy wskazywałem mu jego pokoje, ale teraz, kiedy stał w odległości zaledwie paru metrów ode mnie i oświetlało go wpadające przez okno słońce, przeraziłem się jego wyglądem.

Skórę miał żółtą i sflaczałą. Był nie ogolony, a klapy jego szarej dwurzędowej kurtki mundurowej były najwyraźniej poplamione jedzeniem. Pełen wątpliwości patrzyłem także na jego postawę. Głowę miał pochyloną do przodu, brzuch mu mocno wystawał. Hitler robił wrażenie człowieka zmęczonego, a nawet chorego.

Po południu w całym domu nagle zaczął się ruch. Na rozkaz Hitlera wszczęto akcję, która miała wszelkie znamiona farsy. Z pokojów biurowych wypożyczono płaszcze i czapki oficerów wszystkich stopni i na korytarzach ustawiono żołnierzy i podofice-

Dokończenie na str. 6

USA mniej znane

Łapacz ludzi

Wielkie chłopisko, chodzi uzbrojony po zęby, z samego wyglądu sprawia wrażenie groźnego człowieka. Zajmuje się, przemierzając wzdłuż i wszerz Stany Zjednoczone, chwytaniem ściganych przez prawo bandytów. Rzekomo w imię Ojczyzny, Reagana, ale chyba najbardziej za nagrodę, jaka przysługuje temu, kto schwyta przestępcę. Oto, co pisze o takim awanturniczym z natury człowieku włoski tygodnik „EUROPEO", kreśląc sylwetkę i wyczyny Boba Burtona. Tekst publikujemy w w skrócie.

ZA biurko służy mu drewniana deska, oparta na dwóch beczułkach po prochu artyleryjskim, będących niegdyś własnością US Army. Na nim spoczywają fotografie przestępców poszukiwanych przez policję, kopie listów gończych oraz akty oskarżenia, łuski po pociskach różnego kalibru, całkiem nowe naboje. Wokół, w różnych miejscach lokalu, walają się buty, koszule, spodenki i ręczniki mniej czy bardziej czyste. W samym środku sypialni stoi lampa pełniąca funkcję wieszaka, a na niej kombinezon o barwach ochronnych. W rogu leży odkurzacz, model z lat sześćdziesiątych, który jak można sądzić, dokonując lustracji pomieszczenia nigdy nie był chyba używany. Bob Burton, właściciel tego mieszkania, zostaje zbudzony telefonicznie. Pada tylko kilka słów oraz adres. Wstaje zaraz i idzie do łazienki. Przechodząc przez salon, potyka się o taśmę z pociskami do karabinu maszynowego. Klnie.

Najtrudniejszą sprawą w jego karierze była historia jednego chłopca, „kolorowego", którego zlokalizował w schronisku w Los Angeles, gdzie tenże pracował w charakterze ogrodnika. Podszedł do niego od tyłu, gdy tamten zajęty był podlewaniem trawnika. „Nie stawiał oporu i podając mi swoje przeguby, abym mógł założyć mu kajdanki, poprosił mnie niewinnie o potrzymanie węża do polewania. I ja, jak kretyn, wziąłem w rękę ten przeklęty wąż, dając mu w ten sposób tę jedną chwilę swobody, która wystarczyła mu, aby mnie zmylił i uciekł" — wspomina Burton. Biegnąc jeden za drugim wśród oszołomionych staruszków i sterroryzowanych pielęgniarek obaj pędzili przez kilkaset metrów, aż do momentu, gdy młodzieniec-uciekinier w końcu przeskoczył graniczny mur i ślad po nim zaginął na zatłoczonej ulicy.

Przed wyjściem z domu Burton upewnia się, czy ma przy sobie całe niezbędne uzbrojenie i „oprzyrządowanie". Bierze ze sobą kajdanki, pistolet Browning 9 mm i naturalnie elegancką strzelbę. Ta strzelba to jego ulubiona broń. Jest wielka, potężna i cała czarna. Budzi strach samym swym wyglądem. I gdy repetuje ją, to sam hałas, jaki czyni, może zatrwożyć. Często wystarcza ją tylko pokazać, aby osiągnąć upragniony efekt. W przypadku, gdy zachodzi potrzeba jej użycia, Burton ma do dyspozycji naboje z grubym śrutem lub też pojedyncze pociski kalibru 38.

Na Dzikim Zachodzie, gdy szeryfowie nie mogli pozwolić sobie na ściganie przestępców poza okolicznymi górami i polami, znaleźli na to sposób — zajmowali się tym zadaniem „bounty hunters" — łowcy nagród. Wówczas jeszcze poszukiwany-ścigany mógł być dostarczony „żywy lub martwy", w rękach tych „free lance" (najemników) pozostawiano wymiar sprawiedliwości, a prawo obowiązujące na terenach przygranicznych nie bawiło się w subtelności. Dzisiaj jest inaczej. Również na zachodzie Stanów Zjednoczonych obowiązuje już dużo bardziej rygorystyczne prawo, a ścigany nie może być zwykłym celem-żywą tarczą. Nie znaczy to jednak, że zniknęli „bounty hunters". W sytuacji, gdy poszukuje się w całych Stanach Zjednoczonych około 6 mln osób zbiegłych, za których znalezienie i doprowadzenie oczekują wysokie nagrody idące w tysiące dolarów, biznes kwitnie jak nigdy dotąd.

Najbardziej intrygującym przypadkiem, z jakim się zetknął Burton, który pracuje w charakterze łowcy nagród w pełnym wymiarze godzin, była sprawa pewnego Meksykanina poszukiwanego za rozprowadzanie kokainy. Burton dowiedział się od swojego informatora, że człowiek ten ukrywa się w pewnym motelu w Long Beach. Po przybyciu na miejsce rozpoznał samochód poszukiwanego, wspaniałego bentleya ze składanym dachem, który parkował przed odizolowanym domkiem motelu na uboczu. Początkowo nikt nie odpowiadał na pukanie, potem nagle padły dwa wystrzały z pistoletu. Doszło do krótkiej strzelaniny, po której zapanowała cisza. Obawiając się, że poszukiwany przez niego człowiek może próbować ucieczki przez okno od tyłu, Burton zawołał: „Hej, chłopie, jeżeli nie wyjdziesz stamtąd z podniesionymi rękami, twój bentley stanie się moją tarczą strzelniczą, a mój karabin maszynowy zrobi z niego prawdziwy ser szwajcarski o wielkich dziurach na czterech kołach". Tak rozpoczęły się długie rokowania. Meksykanin w końcu poddał się i w zamian otrzymał prawo zatelefonowania do przyjaciela, któremu przekazał pod opiekę ukochany samochód...

Dzisiaj Bob Burton wyraźnie utyka: w swej długiej karierze dwukrotnie został raniony w tę samą nogę. Po raz pierwszy w czasie starcia z pewnym zbiegiem, a po raz drugi, gdy wyładowywał broń z bagażnika własnego samochodu; wówczas jeden z pistoletów spadł na ziemię i wystrzelił raniąc go w udo. Takie ryzyko grozi temu, co jeździ chevroletem model 1972 r. w rdzawym kolorze (być może w przeszłości był on innego koloru, ale obecnie widać jedynie rdzę), zawsze wyładowanym bronią palną. „Gdyby nie było ryzyka, nie byłoby poczucia przygody, a ja zajmuję się tym fachem bardziej dla przyjemności i umiłowania przygód, niż dla pieniędzy" — powiada Burton.

Przy swym ciężarze (105 kg) i muskularnej budowie ciała, wraz ze swoim pistoletem i strzelbą o obciętej lufie, Bob Burton bez wątpienia ma groźny wygląd, ale jest takim tylko wówczas, gdy znajduje się na tropie poszukiwanego zbiega. Natomiast gdy nie pełni akurat służby, jest on człowiekiem pełnym temperamentu, przyjacielskim, z ogromną łatwością opowiadającym niezwykłe i zajmujące historie, jakich był świadkiem lub bohaterem. W zależności od nastroju różnie opisuje to, co uważa za pozytywne cechy swojego zawodu. Gdy pragnie ukazać się w roli człowieka o szlachetnych porywach serca, mówi o dążeniu do „oczyszczenia ulic z przestępców"; gdy natomiast pragnie być uczciwy, mówi o „spędzaniu życia na zabawie w policjantów i złodziei"; gdy pragnie ukazać się jako człowiek twardy, mówi o „przyjemności, jaką mu sprawia pozbawienie wolności tych, którzy na nią nie zasługują".

O swych ofiarach opowiada z dystansem, chociaż czasami przyznaje, iż odczuwa wobec nich coś w rodzaju współczucia, a nawet wobec niektórych — wręcz sympatii. Ale Bob Burton nie należy do tych, którzy mówią o społecznych uwarunkowaniach przestępstw: dla niego przestępca nigdy nie jest „ofiarą społeczeństwa"; zawsze jest odwrotnie. Dlatego też nigdy nie uległ pokusie uwolnienia swych więźniów, nawet wówczas, gdy niektóry z nich usiłował go skorumpować, oferując pieniądze. Burton dobrze wie, że jeśliby taką grę zaakceptował, a później sprawa

Dokończenie na str. 12

— NOC mnie bije po mózgu, panie doktorze, coraz silniej — mówi siwy mężczyzna o spłaszczonym nosie do młodego psychiatry, a bezgłośnie chciałby dodać: „Nocą to jest tak, jakby ktoś nagle kazał mi się dokopywać do swojego kalectwa, warstwa po warstwie, i to całkiem własnoręcznie, w dodatku zupełnie za darmo".

— Wpierw budziłem się o godzinie czwartej, potem noc skurczyła mi się do godziny pierwszej, a teraz jakby całkiem zanikła, bo przecież za sen nie można uważać tych kilkunastu minut letargu na jawie, który mi się zdarza na przykład w tramwaju.

— Od kiedy pan przestał spać? — pyta młody psychiatra, zaciągając się papierosem.

— Od śmierci Kruszynki — odpowiada łamiącym się głosem siwy mężczyzna o kwadratowej twarzy, której zasadniczym akcentem jest spłaszczony, wielokrotnie łamany nos.

— Przepraszam, nie dosłyszałem, od jakiego momentu? — młody psychiatra, jeszcze nie zmęczony swoim zawodem, nie potrafi ukryć rozbawienia.

— Od śmierci Kruszynki.

— A kto to taki?

— Mój wychowanek. Bokser wagi superciężkiej. Taki kolos, a zanożowali go w jednej melinie. Miał trzydzieści sześć lat. Jeszcze rok temu boksował i robił dla drużyny najważniejsze punkty przy stanie dziewięć:dziewięć. Ja jako trener dużo mu zawdzięczam. On dla mnie w tej ostatniej walce wygrywał albo remisował mecze — siwy mężczyzna zmęczył się mówieniem.

W gabinecie zapadła cisza. Młody psychiatra przyjął poprzednio pacjenta, którego porzuciła żona i ten zaczął staczać się w alkoholizm. Psychiatra wytłumaczył mu, że pijąc zabija w sobie do końca uczucia wyższe i zapisał mu sinequan i trochę reladormu na sen. Od dłuższego czasu były kłopoty ze zdobyciem esperalu, tak jak z wieloma innymi medykamentami, więc nawet nie proponował temu nieszczęśnikowi wszycia tego czegoś, co pijaczkowie nazywają żartobliwie protezą lub protezką. Ten przypadek — siwego mężczyzny — wydał się młodemu naprawiaczowi dusz ludzkich znacznie ciekawszy.

Trener pięściarski, bo nim był ten siwy człowiek o płaskim nosie, znów zobaczył przed sobą ścianę, tę wielką ścianę, która prześladowała go od wielu lat. Od kilkudziesięciu lat chciał ją rozbić pięściami swoimi i swoich zawodników. Nie udało się. W rewanżu ona zaczęła się na niego walić, powoli, ale nieubłaganie odbierając mu sen, i teraz zawaliła się na niego zupełnie wraz ze śmiercią jego ulubionego zawodnika, tego olbrzyma o duszy zdeprawowanego dziecka, który jeszcze do trzydziestego piątego roku życia, bo do tego wieku wolno uprawiać boks, robił punkty dla drużyny w ostatniej, często decydującej walce i teraz został zanożowany w jakiejś podłej, pijackiej melinie.

Ta ściana, a raczej ściany waliły się na trenera z różnych stron. Jego żona od dłuższego czasu zachowuje się, jakby była wdową. Jakby on już umarł i ona była wdową po nim. Żyć na co dzień z wdową po sobie samym to prawdziwy koszmar. Córka, stara panna, coraz bardziej wygląda jak kaleka po nim, jakby i ją przywaliły te ściany, które walą się na niego podczas każdej, bezsennej nocy.

Tych, którzy mówili głośno o bólu, spisywał na straty. Ufał tylko tym, którzy umieli zdusić ból w sobie. Lubił niemych pięściarzy i wierzył tylko tym niemym. Kruszynka, którego nazywano też Godzillą lub Yeti, należał do takich. On umiał twardo patrzeć w oczy przeciwnika, jakby go hipnotyzował. Należał do tych, którzy umieli zdrzemnąć się w szatni przed walką. Bardzo różnił się od tych, którzy modlili się przed walką. Kruszynka — nie. Czasem wydawało się, że ten olbrzym czuje jakiś wielki głód bólu.

— Tuż po wojnie była wielka moda na boks — mówi trener. — Tak jakby w ludziach była dalej potrzeba walki. Obojętnie jakiej, ale walki. Trudno zrozumieć człowieka. Widocznie człowiek musi bić albo być bitym. W byle mieście było po parę

Menażeria fuehrera

Dokończenie ze str. 5

rów z kompanii wartowniczej przebranych za generałów i oficerów sztabowych. Zażądano szczególnie wielu płaszczy generalskich z czerwonymi wyłogami. Musiałem wypożyczyć także swój stary płaszcz skórzany, odmówiłem jednak wydania płaszcza feldmarszałka. Uważałem, że taki teatr musi mieć jakieś granice. Generał Busse uważał całą rzecz za doskonałą zabawę; Manstein milczał.

Jednocześnie pod nasze budynki podjechało wiele z tych samochodów, które w południe tego dnia eskortowały Hitlera z lotniska. W zapadającym zmierzchu tak wspaniale przebrani żołnierze jeden po drugim wychodzili z budynku i znikali w samochodach. Mieszkańcy Zaporoża mieli zobaczyć, że nasi dostojni goście już opuścili miasto. Sztuka udała się znakomicie. Oba samoloty Hitlera zaraz wystartowały i na niewielkiej wysokości przeleciały nad miastem, kierując się na zachód. Na zachodnim brzegu Dniepru było drugie lotnisko, gdzie mogły znowu wylądować.

Cały ten manewr uznałem za zawstydzający. Czy miało to znaczyć, że Hitler — mówiąc po prostu — był tchórzem?

W Kwaterze Głównej liczyliśmy się z możliwością, że Hitler, jeśli istotnie zamierzał zostać z nami zapowiedziane trzy dni, będzie chciał, oprócz narad sytuacyjnych, spędzić jakieś popołudnie lub wieczór z feldmarszałkiem i niektórymi innymi członkami sztabu. Pierwszego wieczoru dał wprawdzie Mansteinowi kosza, ale wydawało nam się mało prawdopodobne, że Hitler naprawdę przesiedzi te kilka dni tylko w swoim pokoju.

Ale do żadnego spotkania nie doszło. Hitler opuszczał najwyższe piętro tylko po to, żeby zejść na naradę na naszej kondygnacji. O ile wiedzieliśmy, do swego wyjazdu 19 lutego ani razu nie wyszedł sam z domu. Tylko któryś z jego przybocznych esesmanów wyprowadzał czasem Blondi (sukę Hitlera) na spacer.

Na drugi dzień, 18 lutego, miały się odbyć dwie narady z Hitlerem. Za zgodą Mansteina zabrałem na naradę w południe swoją kamerę filmową, 16-milimetrowego Siemensa. Trzymałem ją w lewej ręce w możliwie nie zwracający uwagi sposób, bo wiedziałem, że Hitler pozwala się filmować tylko własnym kamerzystom i przegląda zdjęcia przed wydaniem zgody na ich wyświetlenie.

Zająłem to samo miejsce co poprzedniego dnia i miałem idealne warunki oświetlenia. Chciałem sfilmować nie tylko Hitlera dyskutującego z Mansteinem, ale także spróbować złapać go z okularami na nosie. Publiczność nigdy jeszcze nie widziała takiego zdjęcia.

Niedbała postawa Hitlera i nadal brudny mundur — mimo obecności służby — miały w sobie coś przerażającego. Znowu miałem uczucie, że Hitler nieuważnie słucha wypowiedzi feldmarszałka. Tego dnia jednak zadawał czasem pytania. Parę razy wziął też do ręki przygotowane okulary i założył je, aby je zaraz znowu zdjąć.

Przy drugim czy trzecim takim geście podniosłem kamerę, starając się ją zsynchronizować z ręką Hitlera. Jednak Hitler natychmiast w połowie drogi opuścił rękę ze złożonymi okularami i ukrył je w dłoni. Wydawało mi się, że zrobił to wcale nie patrząc w moją stronę. Robił to chyba zupełnie intuicyjnie. Powtórzyłem próbę jeszcze dwa czy trzy razy, ale bez skutku. W końcu zacząłem filmować mówiącego Mansteina i milczącego Hitlera. Ale nie skończyłem. Gen Schmundt, który stał za Hitlerem, podszedł do mnie i podnieconym szeptem poprosił o natychmiastowe zaprzestanie filmowania, bowiem fuehrer rozkazał, że może go filmować tylko ktoś komu udzielił wyraźnego pozwolenia.

Szeptem odpowiedziałem, że przecież byłoby przykro, gdyby tak ważne spotkanie nie zostało utrwalone na filmie. Schmundt natychmiast zgodził się z tym i posłał jednego ze swoich „podadiutantów" po kamerzystę. Kamerzysta zjawił się za parę chwil; przywołałem go do siebie skinieniem.

Parę metrów mojego filmu miało więc dalszy ciąg z tego samego miejsca. Szepnąłem kamerzyście do ucha: „W okularach!", ale potrząsnął głową i zaszeptał w odpowiedzi: „Zakazane". Kiedy zrobił przerwę, powiedziałem mu po cichu: „Te zdjęcia zawdzięcza pan mnie. W zamian dostanę kopię od pana". Kiwnął głową na znak zgody. Do dziś mam tę taśmę.

po kilka klubów bokserskich. I ja zapałałem się na tę modę. Stoczyłem ponad sto pięćdziesiąt walk i przez prawie dwadzieścia pięć lat byłem trenerem. Panie doktorze, czy ja mogę być normalny?

Młody psychiatra pokiwał głową w niewyraźny sposób. Nie wiadomo, czy miało to oznaczać „nie" czy „tak". Milczenie przedłużało się. Młody psychiatra z niemą uwagą przypatrywał się pacjentowi. Już dawno żaden delikwent nie zainteresował go w tym stopniu.

Trener przypomniał sobie mecze pięściarskie, które w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych odbywały się na wolnym powietrzu, na otwartych stadionach, bo hale nie pomieściłyby wszystkich chętnych do oglądania tych często krwawych bijatyk. Jakby te tłumy chciały przedłużyć sobie jakąś namiastkę wojny chociaż o kilka lat, jakby się ci ludzie przyzwyczaili do czucia twardego i bezwzględnego. I gdy tak szli przez murawę boiska w kierunku stojącego na środku stadionu ringu, orkiestra grała

Dziewięć: dziewięć

Edmund Pietryk

modną wtedy melodię z amerykańskiego, wojennego filmu „Most na rzece Kwai". Tak jakby wojna i instynkt walki wpychały się w człowieka każdą możliwą szczeliną. Jak jakieś wielkie, żarłoczne i wszędobylskie robaki.

„Kto się wybuduje i ogrodzi, ten z tego świata odchodzi" — mawiano w rodzinnych stronach trenera i ludzie żyli dniem dzisiejszym. Jego ojciec żył już nie dniem dzisiejszym, ale najbliższą godziną, a nawet minutą. Pił i miał mocną głowę do picia. Józef, bo tak miał na imię stary trener, wcześnie stwierdził, że życie pluje na niego i to na początku pluje na niego przy pomocy ojca. Pluje na niego i w dodatku go głodzi. „Przecież musi istnieć jakieś wielkie życie" — stwierdził, gdy już w paru bójkach przekonał się, że ma prawdziwy dynamit w pięści. A potem jeszcze powiedział sobie, że musi w swoim życiu wybudować jakiś wielki, trwały dom, większy i trwalszy od innych mu znanych, i szczelnie go ogrodzić, bo od najwcześniejszych lat poznał dobrze siłę zła, polegającą na życiu prowizorycznym, byle jakim, z godziny na godzinę. Skończył przyspieszone technikum przy miejscowej Fabryce Łożysk Tocznych i zdał na Wyższą Szkołę Wychowania Fizycznego, przy której była sekcja bokserska AZS-u. Wydawało mu się, że dzięki takiej decyzji patrzy daleko w przód. Chciał przecież zostać wielkim zawodnikiem, a potem wielkim trenerem. To miał być ten wielki, trwały dom z równie mocnym ogrodzeniem.

— Tak sobie myślę, że ja teraz dopiero zaczynam bać się samego siebie — mówi Józef, który zawsze pogardzał lękiem i tymi, którzy mówili o bólu.

Józefowi jeszcze kilka lat temu wszystko wydawało się zwyczajne i do załatwienia od ręki. Jednemu, bardzo potrzebnemu drużynie zawodnikowi, który zgwałcił dziewczynę, polecił zapłacić jej na odczepnego pięćdziesiąt tysięcy i żeby było po krzyku. Po namyśle sam dodał mu jeszcze dwadzieścia tysięcy i uważał, że sprawa została załatwiona aż za dobrze, biorąc pod uwagę sumę, jaką dostała ta zgwałcona.

Młody psychiatra patrzył z ciekawością na tego pacjenta i coraz bardziej czuł swoją bezradność wobec tych mniej lub bardziej roztrzaskanych losów. Wiedział też, że tę bezradność można zneutralizować w sobie zwykłą rutyną, czyli tym sprytnym rodzajem okrucieństwa, który zagwarantuje, że ta chora i pokiereszowana armia jego pacjentów nie przeciągnie go w końcu na swoją stronę ciemności. Bo jak tu skutecznie leczyć noc? Przecież ona musi istnieć tak, jak równolegle istnieje dzień. Można łagodzić noc, w miarę ją oswajać, ale jak ją skutecznie wyleczyć? Dwa lata pracuje w tym zawodzie i teraz sam szuka sposobu, żeby ten pokręcony tłum nie przeciągnął go na swoją stronę ciemności.

— A może pan, panie doktorze, myśli, że ja jestem zwykłym dekownikiem? — pyta Józef, bo od momentu śmierci tego Godzilli czy też Kruszynki uważa, że wszyscy go o coś podejrzewają, że jest co najmniej kilku ludzi, którzy chcą go zapuszkować w kryminale.

Całe studia na Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego wypełnione były boksem. Wtedy to był przedmiot obowiązkowy na tej uczelni. W dodatku było tam więcej takich łakomych na życie studentów, którzy chcieli zrobić wielką, absolutną wszechkarierę. Pochodzili głównie ze wsi i z małych miasteczek. Dla nich nawet największy ból na ringu był narkotykiem i nawet nie podejrzewali, że istnieje na świecie coś takiego jak śmierć. Byli samym życiem, jego najmocniejszą i najbardziej męską afirmacją. Bo dobry bokser to musi być wiecznie głodny, ale zawsze zimno myślący wilk.

— Kto powiedział, że żyje się z dnia na dzień? — spytał nagle psychiatrę Józef. — Przecież powinno się mówić: żyje się z nocy na noc.

Młody psychiatra uniósł brwi w niemym zdziwieniu. Ten pacjent znów go zaskoczył.

— No tak, jeśli u mnie dzień zaczyna się o pierwszej w nocy, a czasem jeszcze wcześniej — wyjaśnił Józef. — I powiem panu, że od czasu, jak się zorientowałem, że jest coś takiego jak ten ból od środka, a nie tylko od zewnątrz, to nagle znienawidziłem swoje nazwisko. I teraz jest tak, jakby mnie nie było. Nie ma mnie. Jest jakieś bezsenne zero. Bo nabrałem obrzydzenia do wszystkiego, do krwi, do potu i do własnego domu też.

I Józefowi wydało się, że stan jakiegoś meczu, w którym znów musi uczestniczyć, jest nieodmiennie dziewięć: dziewięć i że na ring musi wyjść ten jego ulubiony Godzilla, żeby wygrać cały mecz tą jedną walką. Wygrać i znów przedłużyć pierwszoligowy byt jego drużyny, a może i całego życia. Tylko tego Godzilli-Kruszynki już nie ma, nikt nie wyjdzie na ring, żeby wygrać tę decydującą walkę. Jest remis dziewięć:dziewięć, i jest walkower w ostatniej walce. I teraz zacznie się spadanie niżej i niżej. Może nawet na samo dno. To dno, od którego przed latami się odbiło w górę albo może w jakąś udawaną górę. Górę, której może w ogóle nie było.

„Za parę lat ten facet trafi na łóżko z pasami" — pomyślał psychiatra, patrząc w przygasłe oczy swego pacjenta.

Józef wiedział, że szczur, zapędzony w beznadziejną pułapkę, potrafi skoczyć człowiekowi do gardła, a nogi ma przecież krótkie. I dlatego zawsze lubił u ludzi, a szczególnie u swoich zawodników, ten moment szczurzego, wielkiego skoku wynikłego z beznadziejnej sytuacji. Cały jego skok do tej wyśnionej w owym miasteczku kariery był przecież tylko takim szczurzym skokiem, gdy za plecami miał ścianę z biedy i głodnych upokorzeń.

— Czy stare szczury stać na takie wielkie skoki? — pyta głośno Józef, a młody psychiatra zastanawia się, czy ten człowiek nie kwalifikuje się już na oddział zamknięty?

Józef myśli teraz o swoim asystencie, drugim trenerze drużyny, starszym o kilkanaście lat, który nie chciał nawet pieniędzy, byleby tylko pozwolono mu wykonywać obowiązki drugiego lub nawet trzeciego trenera. Chciał być wciąż najbliżej ringu. Człowiek ten przeszedł przez obozy w Oświęcimiu i Buchenwaldzie, gdzie staczał pokazowe walki bokserskie. I boks uratował mu życie. To on często zastanawiał się

— dlaczego najczulsze i najsłabsze miejsce w człowieku nazywa się splotem słonecznym? Dlaczego nazywa się tak pięknie i tak słonecznie, a gdy przeciwnik w nie trafi, to człowiek pada i ogarnia go długa noc, z której trzeba go budzić amoniakiem? Dlaczego to, co w człowieku najsłabsze, nazywa się tak ładnie? I ta jego opowieść o pewnej niedzielnej walce w Oświęcimiu na środku placu apelowego. Widzów w pasiakach było z kilka tysięcy. Ring był bardzo dziwny — między czterema kijami rozciągnięta była lina. Raz, będąc już w bloku piętnastym, musiał boksować ze swoim blokowym, zwykłym niemieckim kryminalistą. Powstał problem — jeśli dołoży temu blokowemu, to ten go potem wykończy. Na szczęście sam blokowy zaproponował mu, żeby udawać walkę. Oczywiście bez mrugnięcia okiem przystał na to. Walka była remisowa, ale za ten remis dostał od blokowego chleb, pół kostki margaryny i kawałek końskiej kiełbasy, bo przecież wszyscy blokowi i sztubowi kradli, jako że mieli dojścia. Kto wie — wspominał ten człowiek niewolniczo przywiązany do boksu — może ta nagroda była najcenniejszą nagrodą w całej karierze? Najcenniejszą, bo pozwalającą przeżyć. Od tego czasu boks i końska kiełbasa to były najcenniejsze sprawy w jego życiu. Bo pozwalały przeżyć. Przetrwać. Przewegetować choćby na kolanach lub na czworakach, ale żyć, żyć!...

— Panie doktorze, czy szczur to jest zwierzę, czy coś zupełnie innego? — pyta Józef.

— Skąd przyszło to panu do głowy?

— Bo ja w nocy pocę się od nóg. Rozumie pan? Nie od żadnej głowy, od rąk, od karku, ale od nóg!

Lekarz chciał przystawić do tej opowieści parę schematów, których nauczył się na akademii medycznej, ale sam sobie wydał się znów bezradny. Zaczął oglądać po raz któryś urządzenie swego gabinetu. Właściwie sam go urządził od początku do końca, według własnego pomysłu. Było w nim mnóstwo zieleni. Tapeta w tonacji łagodnej zieleni, podobnie linoleum na podłodze, dużo naturalnych kwiatów i wielkie zdjęcie poczciwego, kłapouchego psa o wielkich, poczciwych oczach, w których czaiła się jakaś łagodna mądrość i absolutna rezygnacja jednocześnie. Niejednemu ze swoich jakże często dokuczliwych, agresywnych nawet pacjentów chciałby powiedzieć wprost wskazując na to zdjęcie: „Popatrz na tego psa, człowieku, i postaraj się zostać nim chociaż przez chwilę, wtedy może znów staniesz się człowiekiem i jakoś przeżyjesz". Młody psychiatra uparcie patrzył na to zdjęcie. Może dlatego, że coraz skuteczniej go relaksowało, chociaż sam nigdy nie zdobyłby się na kupno żywego psa. Na to był zbyt wielkim egoistą. Tak jak i do posług seksualnych wystarczyło mu parę miejscowych pielęgniarek.

Uwagę Józefa zwrócił ten uparty wzrok młodego lekarza. I sam po raz pierwszy w tym zielonym gabinecie dostrzegł wielkie zdjęcie równie wielkiego psa.

„Zaraz, zaraz — coś sobie przypominał. — Przecież ten mój Godzilla, który dla mnie wygrywał mecze, miał psa. Czasem przychodził z nim na treningi i zostawiał go przywiązanego przed halą. Co się mogło stać z tym psem, kiedy zanożowano jego pana?"

Żona Godzilli już dawno od niego uciekła. Wpierw koledzy zrobili mu paskudny dowcip. Podsunęli mu znaną w mieście dziwkę, która akurat poczuła się zmęczona swoim dotychczasowym życiem. Godzilla po pierwszym razie zakochał się w niej i momentalnie ożenił. Po paru latach tamta poczuła się z kolei znudzona tym zwyczajnym życiem i jak mawiali swoim żargonem miejscowi cwaniacy — poszła w długą. Został mu pies, wódka i parę melin. Posadę dozorcy hali sportowej traktował jako rentę po niezliczonej ilości otrzymanych ciosów, z których najlżejszy miał wagę kilkudziesięciu kilogramów.

„Przecież ten olbrzym z duszą dziecka miał oczy podobne do oczu tego zmęczonego, wielkiego i zupełnie bezbronnego psa — ta myśl naszła Józefa jak jakieś olśnienie. — Ale co się dzieje z tym psem?"

„Ileż to razy ja tych fajterów wyciągałem z aresztu na ring albo z knajpy na trening — myśli gorączkowo Józef, jakby usprawiedliwiał się przed sobą. — Ileż to razy w nocy przed meczem spijałem sędziów, że potem ledwo widzieli, co się dzieje na ringu, ale obowiązkowo punktowali dla nas".

Nagle spostrzega biały ręcznik wiszący przy umywalce. Biały ręcznik! Czasem musiał rzucać go na ring, żeby poddać słaniającego się na nogach zawodnika. Jakże wtedy pogardzał takim mięczakiem. Biały ręcznik rzucony na ring jako znak największego wstydu, jakby on sam z tym słaniającym się zawodnikiem musieli rozebrać się do naga przed gwiżdżącym tłumem.

„I co ten szczawik w śnieżnobiałym fartuchu wie o życiu? — myśli patrząc na lekarza. — Co on właściwie wie o twardości i miękkości, o tej ścianie, która spada na człowieka, o bezsennych nocach i o tym psie, który został teraz bez pana zanożowanego może z własnej woli w pijackiej melinie? Co ten gówniarz może o tym wiedzieć?"

Józef wstaje, idzie w kierunku umywalki, chwyta biały ręcznik i z wściekłym rozmachem ciska go na biurko z lekka przerażonego lekarza.

Rzucił ręcznik, ale sam nie wie, kogo w tym momencie poddał. Wychodzi chwiejnym krokiem z gabinetu. Coś boli go w środku, ale to go już nie dziwi. Miał kilkakrotnie złamane żebra. Wszystkim tym, którzy zbyt wcześnie zaczęli boksować, potem szybko pękają żebra. Wie tylko, że musi odszukać psa tego zwalistego nieszczęśnika, który często wchodził na ring przy stanie dziewięć:dziewięć i wygrywał dla drużyny całe mecze. I teraz jest takie dziewięć:dziewięć. Remis albo jeszcze gorzej. Jeśli nie znajdzie tego psa, to noc może mu się skurczyć do absolutnego zera, że nie rzuci mu nawet ochłapu w postaci kilkunastominutowego, ciężkiego letargu. On nigdy w życiu nie zaśnie, jeśli nie znajdzie tego psa.

Rzymianki krwiożercze i lubieżne?

Dariusz Słapek

KIEDY rozgrzani winem i targani tęsknotą za pozostawionymi w domach żonami synowie etruskiego władcy Rzymu, Tarkwiniusza Pysznego, nie mogli pogodzić się co do tego, która z osamotnionych chwilowo białogłów pretenduje do miana najcnotliwszej, najszlachetniejszej i najwierniejszej, jednogłośnie postanowili skrócić nieco okres „służbowej nieobecności" (a przebywali wówczas w oddziałach daremnie szturmujących rutulskie miasto Ardea) i naocznie przekonać się, czyjaż to połowica w istocie stanowi niewzruszoną opokę cnoty, skromności i wierności małżeńskiej. Książęta etruscy mocno się rozczarowali, zastając swoje oblubienice wśród uczty i licznego towarzystwa. Jedynie żona Kollatynusa, Lukrecja, „przędła wełnę, siedząc w domu przy świetle w pośrodku sług". Jej to właśnie, jedynej, z grona żon etruskich książąt Rzymiance, zgodnie przyznano palmę pierwszeństwa.

Przytaczając tę oto anegdotyczną opowieść, historyk rzymski, Tytus Liwiusz, w sposób, być może nie zamierzony, przedstawił różnice charakteru, roli i pozycji kobiet etruskich i Rzymianek. Sytuacja tych pierwszych była w świecie antycznym na tyle odmienna i niezwykła, że swoboda praw i obyczajów, którymi się cieszyły, ściągała na nie gromy przesadnie moralnych Greków i ortodoksyjnych w sferze obyczajowości Rzymian. Dość stwierdzić, że kobiety etruskie, oczywiście przedstawicielki elity, na równi z mężczyznami uczestniczyły w ucztach i wygodnie spoczywały na sofach u ich boków, szokując tym samym cudzoziemców, według których rola taka przystała wyłącznie kurtyzanom.

Mało tego, mieszkanki starożytnej Etrurii z przyjemnością przyglądały się towarzyszącym biesiadom tańcom, popisom akrobatów, a niektóre nawet przewodniczyły (sędziowały?) walkom zapaśników i pięściarzy. Ich „sportowe" zainteresowania, jak dowodzą tego freski z grobowców etruskich, bynajmniej nie ograniczały się do fascynacji typowo greckimi agonami. Oto na malowidle z Tomba delle Bighe z Tarkwinii ujrzeć można prowizoryczny cyrk, lub amfiteatr (?), z rzędami ławek zajmowanych przez widzów obojga płci, którzy ekscytują się zmaganiami o wiele bardziej krwawymi niż te, które cieszyły Hellenów. Jeśli zgodzimy się z opinią, że w istocie igrzyska gladiatorskie narodziły się w Etrurii, bądź miał tu jedynie miejsce ważny etap ich ewolucji, to wypada stwierdzić także, iż te u swej genezy religijne, typowo męskie, żołnierskie nawet, rzec można, widowiska nie stanowiły dla kobiet etruskich żadnego obyczajowego tabu.

Trudno orzec, czy to ciekawe ze wszech miar zajwisko wynikało jedynie z przypisywanej Etruskom, nie zawsze zresztą słusznie, patologicznej wręcz skłonności do okrucieństwa i krwiożerczości. Skądinąd wiemy, że igrzyska pogrzebowe, a więc związane z krwawą ofiarą, ofiarowano tu także ku czci zmarłych kobiet. Czy Rzymianki aż tak bardzo różniły się w tym względzie od mieszkanek niedalekiej Etrurii?

Przekazy autorów antycznych, źródła archeologiczne, a na ich podstawie cała współczesna historiografia niezbicie dowodzi bardzo silnych i wielorakich wpływów etruskich na rozwój cywilizacji starożytnego Rzymu. W jaskrawej niezgodzie z tą silnie przecież uargumentowaną opinią stoi ukształtowany w obu kulturach model kobiety, jej pozycji w rodzinie i w społeczeństwie. Według Rzymian, nie mogło być piękniejszej roli dla kobiet niż „prząść wełnę i pilnować domu" (lanam fecit, domum servavit). Wzorem żony stała się „summa lanifica" — znakomita prządka, którą cechowała skromność, wstydliwość, słabość, brak wytrwałości i ignorancja w sferze polityki.

Upowszechniany przez rzymskich ideologów i obrońców moralności model Rzymianki stanowił oczywiście pewien ideał, mający do spełnienia rolę wybitnie propagandową. Rzeczywistość, jak zwykle, wyglądała nieco inaczej. Choć termin „emancipatio" w klasycznej łacinie posiadał trochę inne od współczesnego znaczenie, to jednak żony Licyniuszów, Oktawiuszów i Sekstiuszów od dawna miały ciągoty do nie skrępowanej władzą męża wolności. Swoje dążenia mogły argumentować wspaniałym przykładem — wszak Sabinki zostały porwane przez ludzi Romulusa z odbywających się właśnie ku czci Neptuna igrzysk.

Początki nie należały do najłatwiejszych. Publiusz Semproniusz Sofus, konsul 304 r. p.n.e., rozwiódł się nawet ze swoją żoną dlatego, że udała się ona na widowiska bez jego zgody. Domyślać się jednak można, że (o dziwo!) czcigodnego męża bardziej rozwścieczyła samowola połowicy, nie przestrzegającej sakramentalnej zasady: „ubi tu Gaius, ibi ego Caia", niż cel jej samotnej wizyty. Igrzyska, o których tu mowa, nie miały chyba jeszcze wówczas krwawego charakteru i należały raczej do rzędu widowisk opartych na wzorach greckich. Walki gladiatorskie bowiem pojawiły się na gruncie rzymskim kilkadziesiąt lat później. W opinii swych apologetów, miały przede wszystkim propagować pogardę śmierci, bólu, umiłowanie chwały i żądzę zwycięstwa. Stosunkowo szybko utraciły pierwotny religijny charakter, nabierając cech widowiskowych, rozrywkowych, a nawet znaczącej roli politycznej. Pragnąc jak najlapidarniej określić ich popularność, należałoby użyć kilku prostych, acz pełnych treści słów: magia i magnes, obłęd i obsesja, szaleństwo i psychoza. Aby w pełni wyjaśnić ten fenomen, historyk musiałby zaprosić do wspólnych badań socjologów, psychologów, a i być może przedstawicieli kilku innych dyscyplin także.

Autorzy antyczni, rzadko na ogół piszący o igrzyskach, raczej niewiele uwagi poświęcali widowni, a jeśli już, to bynajmniej nie dokonywali jej podziału ze względu na płeć. Specyfika zadań propagandowych igrzysk jednoznacznie wskazywała, że zostały one przeznaczone jedynie dla „brzydszej" połowy rodzaju ludzkiego. Nie można jednak na tej podstawie twierdzić, że kobietom zabraniano ich oglądania. Zresztą w pierwszej fazie rozwoju walk gladiatorskich byłoby to praktycznie dość trudne, gdyż odbywały się one w miejscach jak najbardziej publicznych — na Forum Romanum i na tzw. „forum boarium" (targu wolim).

Sytuacja nie zmieniła się nawet, gdy możliwość oglądania igrzysk została ograniczona koniecznością uzyskania wstępu do powstających, począwszy od I wieku p.n.e., amfiteatrów. Fakt zasiadania kobiet na widowni pospołu z mężczyznami Swetoniusz, piszący na przełomie I i II wieku n.e., określa mianem „obyczaju". Świadczy to, że zarówno prawo pisane, jak i zwyczajowe, praktyk takich od dawna nie zabraniało ani wyraźnie nie potępiało.

Pewnych regulacji dokonał w tym zakresie dopiero cesarz August. Zezwolił on mianowicie na oglądanie przez kobiety walk gladiatorskich, ale tylko z miejsc w wyższych częściach amfiteatrów, oraz „zabronił młodzieży płci obojga uczęszczać na widowiska nocne bez opieki kogoś starszego z rodziny". Wydaje się jednak, iż w tym wypadku August nie występował z pozycji restauratora rzymskich cnót i obyczajów, a już z pewnością nie kierowała nim chęć zaoszczędzenia kobietom widowisk złego smaku. Wspomniany Swetoniusz wyjaśniał, że cesarz pragnął w ten sposób przede wszystkim „bezład i samowolę panujące dotychczas na widowiskach publicznych ukrócić i ująć w karby". Stanowiło to oczywiście pewne ograniczenie, chociaż w sposób istotny nie wpłynęło na fakt, że płeć piękna igrzyskami się fascynowała i ciągle w dużym stopniu wypełniała widownie amfiteatrów.

Z pewnością administracyjne pozbawienie kobiet możliwości bezpośredniego śledzenia krwawych pojedynków przynieść mogłoby nie lada kłopoty i perturbacje. Przecież inny historyk rzymski, Tacyt, twierdził, że „namiętność do igrzysk gladiatorskich dzieci przejmują już w łonie matki". Być może opinia ta nie dotyczyła szacownych matron, przedstawicielek rzymskiej nobilitas, ale — z drugiej strony — sam M. T. Cyceron wspominał, że „igrzyska podobają się nie tylko tym, co wyznają, że ich bawią, ale i tym, co się z tym kryją". Zresztą bywałe i „światowe" damy nieobecność w amfiteatrze mogły sobie doskonale zrekompensować oglądaniem walk gladiatorskich stanowiących „atrakcyjne" dodatki do wystawnych uczt i przyjęć. Mniej majętne zmuszone były znacznie częściej fatygować się do amfiteatrów.

Za panowania Tyberiusza na zorganizowane w Fidenach igrzyska „napływali chciwi takich widowisk [...] ludzie wszelkiego wieku, mężczyźni i kobiety". Przeciążona, pospiesznie i niedokładnie zbudowana konstrukcja amfiteatru runęła. Kronikarz tych wydarzeń zanotował, że ci, którzy stracili bliskich, „w nocy po zawodzeniach i jękach próbowali swe żony i dzieci rozpoznawać". Podobnie w 59 r. n.e. w Pompejach los urządził krwawe widowisko nie na arenie, lecz wśród widowni miejscowego amfiteatru. W wyniku bójki, do której doszło, z niezbyt zresztą jasnych powodów, między „kibicami" z Pompejów a przybyłymi z pobliskiej Nucerii, „musiano wynieść mnóstwo zabitych lub rannych kobiet nucyreńskich".

Nawet jednak niesamowity ścisk i tłok napływającego tłumu, w którym jak w przypadku igrzysk Cezara, „moc osób pognieciono i poduszono, między tymi dwu senatorów", nie stanowił dla Rzymianek żadnej przestrogi. Jak dowodzi jedna z satyr Juwenalisa, przemyślne mieszkanki nadtybrzańskiego grodu umiały sobie radzić niemal w każdej sytuacji:

Ogulnia na igrzyska zabiera spódnice
Asystę, przyjaciółki, poduszki, siedzenie,
Nianię, dziewkę, co spełni pani swej życzenie.

Na widowni warto było prezentować się wytwornie i okazale. Dyktator rzymski, L. Korneliusz Sulla poznał swoją przyszłą żonę właśnie na igrzyskach. Dla Owidiusza, autora „Sztuki kochania", zorganizowanie przez Augusta bitwy morskiej z udziałem 6 tys. gladiatorów było wspaniałą okazją do wielu schadzek i romansów:

Czyż od obu mórz chłopcy, obu mórz dziewczęta
Nie przybyli? I cały świat się spotkał w mieście?
Któż w tym tłumie nie znalazł przedmiotu kochania?

Podobne zalety wielkich widowisk doceniał także inny wybitny poeta rzymski, Katullus. A zatem nie zawsze wizyty w amfiteatrach kończyły się tragicznie i żałośnie. Być może także z tego względu głosy przeciwne obecności kobiet na igrzyskach były ciche i anemiczne. Zresztą nikt nie śmiał występować przeciwko utartemu zwyczajowi.

Zupełną nowością na gruncie rzymskim było jednak zorganizowanie walk gladiatorskich ku czci zmarłej kobiety. W roli prekursora występował Gajusz Juliusz Cezar, który „na cześć swej zmarłej córki obiecał ludowi zapasy gladiatorskie, czego nikt przed nim nie uczynił". Obyło się bez protestów i wielkiego oburzenia ze strony tradycjonalistów, a problem przestał być wkrótce precedensem. Według inskrypcji z Ostii, na przykład, igrzyska ku czci Emilii Agryppiny miały odbywać się corocznie. Działo się tak zresztą zgodnie z jej własnym życzeniem, zapisanym w testamencie!

Wkrótce także przestał dziwić fakt, że wystawianiem i organizowaniem walk gladiatorskich zajęły się same kobiety. Mieszkanka Gabiów, niejaka Priscilla, urządziła igrzyska ku czci cesarza Antonina Piusa i jego dzieci. W Kasinum Ummidia Kwadratilla ofiarowała miastu amfiteatr. W Lupiach podobnie uczyniła niejaka Otacilia Sekundilla. Inskrypcyjna notatka z Tazos wymienia gladiatorów będących własnością jakiejś kobiety, która prawdopodobnie za wysoką opłatą wypożyczała wyszkolonych zawodników fundatorom igrzysk.

W zachodnich prowincjach cesarstwa organizacją widowisk zajmowali

się głównie kapłani. Dzielnie asystowały im jednak ich małżonki. Taka postawa była godna podziwu, gdyż, jak zanotował Marcjalis, żona jednego z urzędników rzymskich, któremu przyszło wydać na urządzenie walk sporą sumę pieniędzy, po prostu porzuciła go, licząc się z tym, że koszty pochłoną także dużą część jej majątku. Już po raz drugi igrzyska stały się przyczyną rozwodu. Jak się okazuje, „kroniki obyczajowe" odnotowały podobnych wypadków znacznie więcej.

Rzymscy obrońcy moralności nie protestowali przeciwko uczestnictwu kobiet w widowiskach. Milczeli, gdy gladiatorzy zaczęli się potykać ku czci zmarłych białogłów. Cierpliwie znosili fakt, że same niewiasty poczęły organizować krwawe pokazy. Próg moralności został jednak przekroczony w chwili, gdy okazało się, że Rzymianki bardziej niż igrzyskami fascynują się samymi gladiatorami. To, iż ci wspaniali mężczyźni cudzołożyli, nie byłby może aż tak bulwersujący, gdyby nie fakt dokonywania przez nich pozaamfiteatralnych podbojów nie tylko w gronie niewolnic, wyzwoleniec i panien niskiego pochodzenia. „Kroniki obyczajowe", których rolę w tym wypadku doskonale spełniają utwory satyryków rzymskich, dają na to szereg dowodów. Żona trybuna, a więc dość wysokiego urzędnika państwowego, utrzymywała intymne kontakty z gladiatorem Hyllosem; Podobnej pokusie uległa niejaka Gabinia. Dla gladiatora porzuciła swego męża niewierna Eppia:

Był to jednak gladiator, więc [...]
Hiacynt uroczy,
Co lepszy niźli dzieci, mąż, siostra, ojczyzna...

Przemyślne Rzymianki próbowały też innych wymyślnych sposobów na przeżycie upojnych chwil w ramionach muskularnych idolów italskich amfiteatrów. Otóż na zachowanych tabliczkach woskowych z Pompejów istnieje akt kupna gladiatora przez kobietę, która nie znajdowała się w liczbie osób organizujących igrzyska. Jakiż zatem był cel tej dziwnej nawet na antyczne warunki transakcji? Kwestię zdają się po części wyjaśniać pompejańskie graffiti (napisy na ścianach domów). Dowiadujemy się z nich, że np. gladiator Tracjan Celadus nazywany był „bohaterem dziewcząt, przyprawiającym je o bicie serca", zaś sieciarz Krescens słynął jako „spóźniony lekarz dziewcząt nocnych, rannych i innych" (dominum et medicum puparum nocturnarum).

Skutki miłosnych podbojów gladiatorów okazywały się czasem dosyć spektakularne. Wysoki dygnitarz na dworze Klaudiusza, Kurcjusz Rufus... Ale oddajmy głos Tacytowi: „O pochodzeniu Kurcjusza Rufusa, o którym niektórzy opowiadali, że był synem gladiatora, nie chciałbym kłamstw przytaczać, a wstyd mi powiedzieć prawdę". Nymfidiusz Sabinus został doradcą i dowódcą gwardii pretoriańskiej Nerona Jego matka, Kallista, sama niskiego pochodzenia, acz wielkiej urody, miała wybitną słabość do płci przeciwnej. Stąd ojcem Nymfidiusza był prawdopodobnie gladiator Martianus. Niektórzy utrzymywali też, że sam cesarz Kommodus poczęty został w pozamałżeńskim związku jego matki Faustyny z nieznanym szermierzem.

Jak się okazuje, podobne wypadki wcale nie należały do rzadkości. Juwenalis z rozdrażnieniem wspominał, że pochodzącym ze sławnych rodzin senatorom przychodziło zajmować zastrzeżone dla nich miejsca w amfiteatrze „mając szczep gladiatorski na lewo i prawo".

Na nic jednak zdawały się głosy potępienia i oburzenia, skoro zapaśników rzymskich zaczął otaczać swego rodzaju kult. Stali się oni jakby żywymi bóstwami płodności, wigoru i męskiej siły witalnej, a także (o dziwo!) szczęścia i pomyślności... Pliniusz Starszy zanotował, że: „Epileptycy piją wręcz krew gladiatorów i to z żywych niby-pucharów [...] wchłaniają w siebie lek najskuteczniejszy, ciepły i parujący, wprost żywą duszę, kiedy tak usta przytykają do rany". Panowała opinia, iż leczyć tak można także impotencję u mężczyzn oraz bezpłodność i inne choroby kobiece.

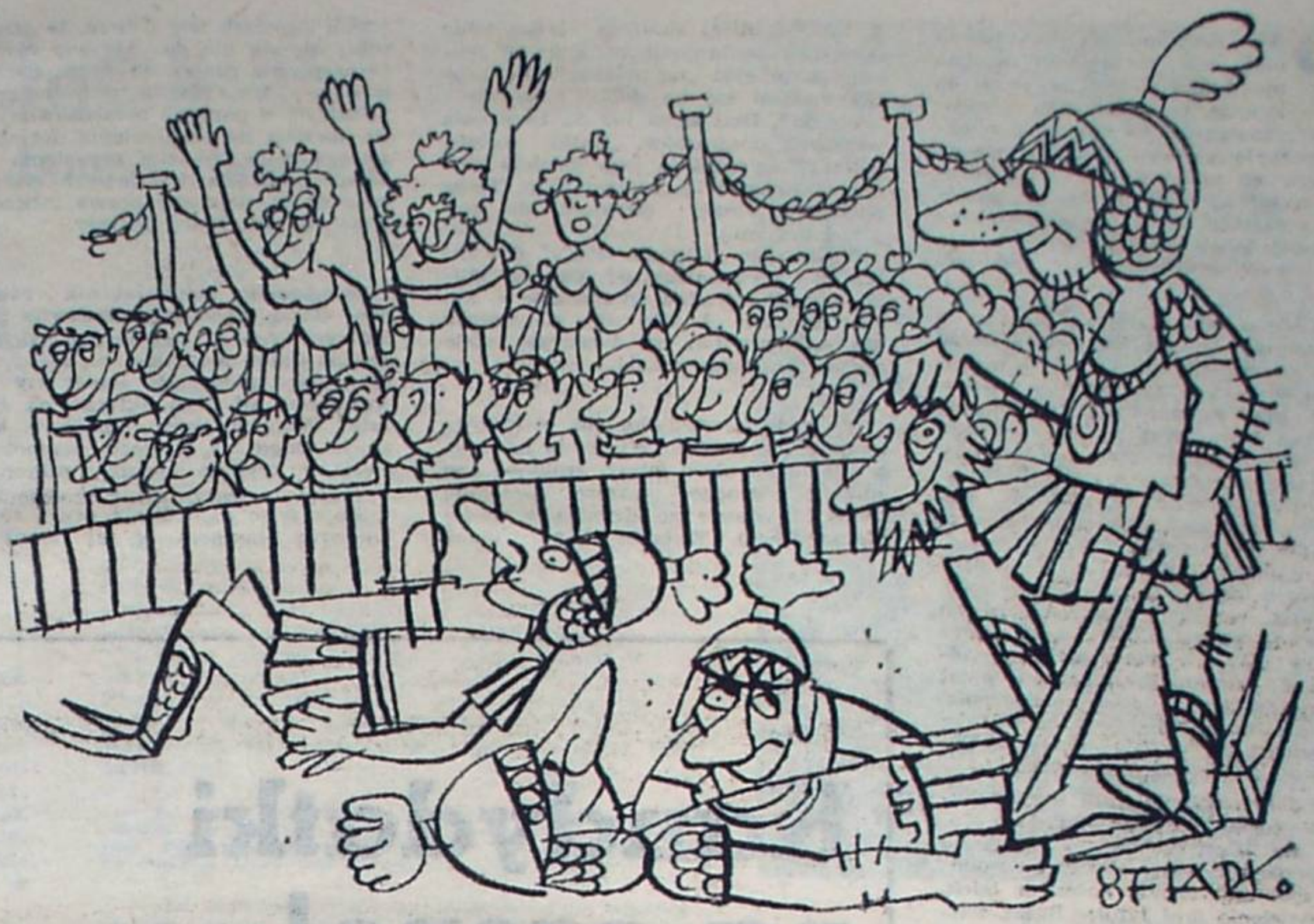

Fragmenty uzbrojenia, a nawet części ciała zabitych gladiatorów traktowano jak relikwie. Narzeczona, której włosy rozczesano włócznią poległego szermierza, miała być pewna szczęścia w małżeństwie. Interpretator snów, Artemidoros z Daldis, twierdził, że sen, w którym występował gladiator tracki, ma znaczenie matrymonialne. Wizerunki najsławniejszych zawodników umieszczano na medalionach, freskach i obrazach wystawianych w świątyniach. Z pewnością można temu przypisywać pewne znaczenie magiczne.

Podobny stosunk Rzymian(-ek) do gladiatorów sprawił, iż narosło wokół nich szereg mitów i półprawd. Tymczasem, abstrahując od charakteru zajęć, byli to częstokroć w miarę normalni ludzie. Niektórzy, mimo szeregu pokus i pułapek, próbowali zwykłego życia i trzeba przyznać, że znajdowali kobiety, które na stałe decydowały się dzielić z nimi ich niepewny los, nie kierując się jedynie kaprysem i chęcią przeżycia przygody.

Związki te nie należały oczywiście do zbyt trwałych. Epitafium poległego gladiatora mówi, że zakończył on życie w 22 roku, po pięciu pojedynkach, w szóstym roku małżeństwa. Jeden z papirusów odzwierciedla tragizm kobiety po śmierci ukochanego: „zostawiłeś mnie samą w mym bólu". Nagrobek ku wiecznej pamięci gladiatora Hyllosa wystawiła jego wierna żona Ermais. Rzadko ze związków tych rodziły się dzieci, choć wiadomo, że za Kaliguli czterej synowie szermierza wyprosili dla swego ojca uwolnienie od walk na arenie, a epitafium na pomniku ze Smyrny informuje o wspaniałym geście grupy gladiatorów, którzy złożyli się na pochówek dziecka jednego ze swych kolegów.

Profesja gladiatorska nie była zajęciem ani dziedzicznym, ani rodzinnym. Nie posiadamy wiarygodnych informacji o tym, by na arenach występowały także małżonki rzymskich zapaśników. Nie znaczy to oczywiście, iż kobiety w ogóle pozostawiły krwawe zapasy jedynie mężczyznom. Jak się okazuje, „dux femina facti", i w tym była ręka niewiasty!

Trudno dociekać motywów, jakimi kierowały się przedstawicielki „słabej" płci, ryzykując występy w roli gladiatorek. Czy była to reakcja na zniewieściałość mężczyzn, czy też żądza sławy, pieniędzy, miraż identyfikacji z podziwianymi zawodnikami? Domyślać się jedynie można, że w większości wypadków decydowały gusta publiczności, skłaniającej organizatorów igrzysk do przymuszania, być może na mocy wyroków sądowych, kobiet do występów w amfiteatrze. Zapewne w taki właśnie sposób trafiła do szkoły gladiatorskiej kobieta tracka, uważana za przyjaciółkę samego Spartakusa. Znane są także przypadki, kiedy niewiasty wychodziły na arenę z własnej woli. Już za panowania Tyberiusza „młodzież rozpustna obojga płci, aby nie być skrępowana uchwałą senatu zabraniającą występowania na arenie i na scenie, sama zgłaszała się po złą notę do sądu obyczajowego". Nota taka pozwalała uniknąć kar przewidzianych ustawą za tego typu występki.

Jak widać ograniczenia prawne, wprowadzone już przez Augusta, w niczym nie zahamowały napływu kobiet w szeregi gladiatorskie. Praktyka taka stała się zastraszająca za panowania Nerona, kiedy to na arenach występowały nawet arystokratki. Przerażony Tacyt zauważył, że z roku na rok ich liczba zwiększała się.

Walki kobiet cieszyły się oczywiście ogromnym powodzeniem. Jeden z bohaterów „Uczty Trymalchiona", zachwalając mające się wkrótce odbyć, fundowane przez niejakiego Tytusa igrzyska, z przejęciem stwierdza: „ma już kilku chwatów i jedną niewiastę, która walczyć będzie na rydwanie!". Pragnąc uczcić wizytę władcy armeńskiego Tyrydatesa, w Puteoli zorganizowano pokazy walk gladiatorskich z udziałem kobiet etiopskich. Cesarz Domicjan rozkoszował się zmaganiami niewiast w nocy przy świetle pochodni. Jeden z testatorów zaś zastrzegł sobie pojedynki kobiet wybranych ze względu na urodę.

Słaba płeć radziła sobie na arenie całkiem nieźle. Gladiatorka Nemes pokonała w bezpośredniej walce lwa, za co Marcjalis porównywał ją z samym Heraklesem. Niejaka Maevia w stroju amazonki zabijała w amfiteatrze dzikie zwierzęta. Być może stąd wielce popularnym wśród gladiatorek było imię Achillia i Amazonka.

„O, spectaculum miserum et acerbum!" (o, nędzne i przykre widowisko) — zdawali się krzyczeć wszyscy przeciwnicy występów kobiet na arenach. Ze szczególną atencją atakował gladiatorki w swoich satyrach poeta Juwenalis. Główne ostrze krytyki skierował przeciw arystokratkom, które zapragnęły olśnić widownię swoją siłą, sprytem i przebiegłością. Charakter ich zajęć był dla poety na tyle męski, że stwierdził:

Może wstyd mieć kobieta pokryta orężem,
Która płeć zmienia? Kocha siłę, lecz być mężem
Nie chciałaby. Przyjemność tu do nas należy...

Dalej zastanawiał się:

Czy to ta, co od tkanin cykladzkich spocona,
Której jedwab cieniutki mocno rani wdzięki?

I odkrywczo zauważał:

Popatrz! Ciosy, z jakimi naśladuje jęki,
A pod ciężarem hełmu jakże się ugina...

Na szczęście, opisywany przez Juwenalisa przypadek należał do wyjątkowych. Generalnie bowiem liczba kobiet występujących na arenach była znikoma, biorąc pod uwagę rozmiary i częstotliwość organizowanych w starożytnym Rzymie igrzysk gladiatorskich. Bezpośredni udział kobiet w walkach stanowił jakby patologię i tak przecież nieetycznych z naszego punktu widzenia widowisk. Dowodził jednakowoż, że związki kobiet z igrzyskami były dość silne i wielorakie.

Taki wizerunek Rzymianek odbiegał nieco od lansowanych przez oficjalną propagandę wzorców i ideałów. Wskazywał także na pewne podobieństwo w tym względzie do mieszkanek starożytnej Etrurii. Czy można tu zatem mówić o krwiożerczości i wyuzdaniu? Widowiska były przecież nieodłącznym elementem codziennego życia antycznego Rzymu i wydaje się, że poprzez uczestnictwo w nich kobiety rekompensowały sobie niejako odsuwanie ich od wszelkich innych dziedzin życia publicznego. Poza tym nieco inaczej rozumiano wówczas pojęcie okrucieństwa, krwiożerczości... Jakie czasy, takie obyczaje. A kto temu nie wierzy, niech chociaż bacznie śledzi, kto zasiada w hiszpańskich amfiteatrach w trakcie „niewinnej" corridy!

Rysunki Józefa Tarłowskiego

Kandydatki na scenę!

Mirosław Derecki

Rys. Józef Tarłowski

Pani Ania ma lat dwadzieścia pięć. Jest szczupła, zgrabna blondynka. Kiedy tak siedzi na krześle wyprostowana z rękoma skrzyżowanymi na kolanach z lekko przechylona głową słuchając uważnie tego co mówi do niej pan Jureczek, widać od razu że nie jest zupełną nowicjuszką. Że ma za sobą trening baletowy który wyrzeźbił jej sylwetkę nie tylko zwinności, ale także spokojnej gracji.

Pani Ania tańczyła przez pięć lat w dość znanym zespole folklorystycznym, potem oczekiwała się o stopień wyżej: została adeptką w zawodowym wojskowym zespole estradowym. Przetańczyła tam dwa lata. Teraz jest od pewnego czasu wolna do znaczy nie pracuje. Więc jak przeczytała w „Kurierze Lubelskim" ogłoszenie że „Estrada" poszukuje kandydatów na adeptów sceny, zaraz się zgłosiła... A dlaczego odeszła z poprzedniej pracy? Pani Ania zachowuje dyplomatyczne milczenie. Tutaj na „giełdzie" nikt nie pocha się z wywnętrzaniem na temat własnego życiorysu. Bo i w większości przypadków mało kto miałby na ten temat coś interesującego do powiedzenia. Ktoś kto jest kandydatem na adepta, stoi poniżej pierwszego stopnia zawodowej drabiny.

Pan Jureczek poszukuje nie tyle adeptów, co jednej adeptki do widowiska dla dzieci, w którym występuje on z partnerką a ponadto czteroosobowy zespół muzyczny i animator lalek. Przedstawienie nosi tytuł: „Bajki, baśnie, ballady" w scenariuszu wykorzystano utwory Brzechwy, Tuwima i Fredry oraz znane przez większość dzieci piosenki z repertuaru harcerskiego zespołu „Gawęda". Są w spektaklu recytacje, występy pantomimiczne, sceny taneczne i momenty wspólnej zabawy z dziecięcą widownią, która śpiewa wraz z wykonawcami „Czarne wrony" „Kozioleczka" i „Co powie tata". A lalki-kukiełki wykonują nad parnwanem swoje zabawne ewolucje...

Przedstawienie idzie od dwóch lat, objeżdżając Polskę jak długa i szeroka. Tysiąc przedstawień, pięćdziesiąt spektakli w miesiącu, czasami — kilka w ciągu jednego dnia! Cholerna praca, ale i satysfakcja, i różnorodność. Nie takie tam tłuczenie do upęku całego nie kończącego się cyklu „choinek" dla dzieci pracowników Huty Katowice... „Bajki, baśnie, ballady" zyskały podobno doskonałą ocenę na ubiegłorocznym przeglądzie teatrów zawodowych dla dzieci w Chorzowie. A w Bydgoszczy to w Kuratorium wprost nie mogli się nadziwić i nachwalić, jaki gust i poziom...

— Jak popracuje pani dwa lata, a może krócej (bo przecież jest już ten staż w wojskowej „estradówce") — powiada pan Jureczek — będzie możliwość przystąpienia do egzaminu eksternistycznego na aktora estradowego. W Warszawie się taki egzamin zdaje: przed komisją ministerialną. Dwanaście osób w komisji, nie byle co! Praktyka, potem teoria... Jak zdasz praktyczny, jesteś do przodu, bo teorię można zdawać trzy razy...

Ale to wszystko — w przyszłości, gdyby pani Ania została zakwalifikowana już na adeptkę. Na razie ona coś zaśpiewa, co jej podrzuci (tkwiący sennie nad pianinem) akompaniator, i niech zarecytuje wiersz... Nie zna żadnego wiersza? Nigdy się nie uczyła na przykład Brzechwy — „Nad rzeczką opodal krzaczka, mieszkała kaczka-dziwaczka...?" Nie? No, trudno. To niech pani Ania pożyczy sobie od kogoś zbiór wierszy Brzechwy i nauczy się na pamięć... Na poniedziałek, tutaj w tej samej sali, o godzinie szesnastej. I to jest konieczne, bo przecież taniec poszedł bardzo dobrze i kandydatka czuje także pantomimiczny gest, i ma prezencję, a to dzieci lubią o wiele bardziej, niżby się można było spodziewać. Bez predyspozycji aktorskich i piosenkarskich dalej nie pojedziemy... Aktor estradowy to artysta wszechstronny. Tak to jest!

Pan Jureczek sam kiedyś „podchodził" do estradowego egzaminu eksternistycznego jako adept. Tyle, że on miał za sobą doświadczenia pantomimiczne, wyniesione z kilkuletniego pobytu w Teatrze Wizji i Ruchu, prowadzonym przez Jerzego Leszczyńskiego, gdzie — poza samym „mistrzem" — zajmował pozycję czołowego mima, dobrze pamiętnego m.in. z kreacji w słynnym przedstawieniu „Malczewski". Z jakichś bliżej znanych tylko sobie powodów postanowił w pewnym momencie przejść „na własne". To znaczy związał się na dobre i na złe z „Estradą". Dziś sięga już do tworzenia własnych programów. „Bajki, baśnie, ballady" są właśnie jego dziełem scenariuszowym i inscenizacyjnym. Teraz poszukuje nowej partnerki do tego przedstawienia.

A dlaczego „odpadła z gry" dotychczasowa wykonawczyni? Tu jest milczenie... W estradowym biznesie — kto wie, to wie. A kto nie wie, niech nie zadaje pytań, bo i tak się wiele nie dowie. Taka zasada...

*

Następna kandydatka na estradową aktorkę ma dwadzieścia jeden lat, rozwiane malowniczo włosy, zrobione „na sprężynę", trochę jeszcze dziecinną twarz i... własne już dziecko w wieku niemowlęcym. Wytarte dżinsy, takąż bluza, robiony własnoręcznie gruby sweter i chustka owiązana wokół szyi.

Siedząc w gronie kilku jeszcze innych kandydatek pod drzwiami pustej sali w miejskim domu kultury, gdzie odbywają się przesłuchania adeptek (sali, która przed laty była pełną młodzieży, przytulną kawiarnią, a dzisiaj gromadzi tylko dziewczyny ćwiczące aerobic), otóż siedząc na owej „giełdzie", pani Terenia zawahała się nagle poważnie, czy aby nie przeliczyła się przypadkiem z własnymi siłami?... Toteż wkroczywszy do ex-kawiarni, powiada z miejsca szczerze: „Przepraszam, ale doszłam do wniosku, że niepotrzebnie zawracałam gitarę. To nie dla mnie".

— Co znaczy „zawracałam gitarę"? Co znaczy „nie dla mnie"? — pyta pan Jureczek, dla którego takie sytuacje są nieobce. I który pamięta także, że w tym fachu nawet pierwsze, nie najlepsze wrażenie wcale jeszcze o niczym nie świadczy... Przeto kiwa głową na pianistę, aby się uaktywnił: — Kochanany, daj nam: „Dlaczego biedronka...?"

Pianista wali przygrywkę, przechodzi do canta... Jeszcze raz i jeszcze. Dziewczyna milczy.

— No co — powiada łagodnie pan Jureczek — nie zna pani tego? To z repertuaru Kukulskiej...

— Znam. Ale ja się bardzo boję...

— To co, nie zaśpiewasz? — pan Jureczek przeszedł niezauważalnie na „ty".

— Może... innym razem.

— Aha. To może powiedz wyraźnie, artykułując głoski i starając się interpretować tekst:

„Niech mi powie każdy szczerze,
Skąd się biorą dziury w serze?"

Dziewczyna powtarza, z dość miernym skutkiem.

— A co ty w ogóle robisz? Pracujesz, uczysz się jeszcze? — indaguje z anielską cierpliwością egzaminujący.

— Ja... chodzę na kurs przygotowania zawodowego — mówi, zacinając się, pani Terenia. — Kroję, wie pan, lalki. To znaczy „patrony". I potem zeszywam. Więc, jak się już nauczę, mogłabym szyć te lalki chałupniczo... Ale, jak przeczytałam ogłoszenie w „Kurierze", pomyślałam, że może... Ja śpiewałam kiedyś w zespole przy Chorągwi Lubelskiej. I przez dwa lata prowadziłam drużynę zuchową...

— No, to dobrze. To naucz się na poniedziałek wiersza Brzechwy: „Wrona i ser". I przyjdź koniecznie, zobaczymy, co się da zrobić...

Pan Jureczek wie dobrze, że „zrobić" tutaj nic się nie da. Ale wie również, że niepisane prawa obowiązujące przy doborze kandydatów przychodzących „z ulicy", w porywie bezsensownej często nadziei na odmienienie dotychczasowego życia, nadziei uczepienia się ogona własnych kolorowych snów, a więc że te niepisane prawa zabraniają mówienia brutalnej prawdy.

*

Dwadzieścia jeden lat ma również pani Basia. Skończyła niedawno „handlówkę". Ale że uczęszczała także na zajęcia klubu piosenki i ma ładny, miły głos, więc pomyślała sobie: czy nie spróbować sił jako aktorka na estradzie? Zamiast tkwić gdzieś w kącie, za biurkiem, z którego perspektywy świat się wydaje odległy o miliony lat świetlnych, szary, nasw. codzienny.

Staje więc pani Basia przed rozkiełkotanym pianinem, w tej samej sali, gdzie, trochę podobne do niej, inne młode dziewczyny „katują" dwa razy w tygodniu własne ciało w rytm komend aerobikowego instruktora (być młodą, sprawną, pociągającą dziewczyną to też szansa na inny świat!), i śpiewa, jak tylko potrafi najlepiej, swoją ulubioną piosenkę, w której:

„Trącona struna marzeń gra.
Muzyka twoje imię ma
I tylko ja coś o tym wiem..."

A skończywszy śpiewać, zawirowawszy w rytmie walca przez połowę sali, staje w „recytatorskiej" postawie, jak na uczciwej, szkolnej akademii, gdzie mówiła wiersz zaczynający się od słów: „Idzie przez moje serce stary ojciec..."

— Pani musi wiedzieć — roztacza przed nią, na pocieszenie, miraż scenicznej kariery pan Jureczek — że praca u nas jest bardzo ciężka. Pracujemy średnio piętnaście dni w miesiącu. Od poniedziałku do piątku. Zwykle na dwutygodniowym objeździe. Trzeba być zdyscyplinowanym. Chętnym do pracy. Czasami już o ósmej rano rozpoczynają się imprezy. Trzeba być roześmianym, radosnym, cieszyć sobą wzrok dzieci. Zarobić można więcej niż w biurze...

— A... ciągłość pracy do emerytury będzie mi się liczyła? — pyta rzeczowo niedawno upieczona „ekonomistka".

Pan Jureczek jest trochę zaskoczony. — Ciągłość pracy...? Hm, o tym trzeba porozmawiać z naszym radcą prawnym... No, i są dwa miesiące wakacji — dodaje z ożywieniem.

— Płatne czy bezpłatne? — dociska rzeczowo pani Basia.

— Bez-płat-ne! — odpowiada trochę poirytowanym tonem pan Jureczek. — Ale może pani sobie wziąć na wakacje płatną pracę. Na przykład jako opiekunka na szkolnych koloniach...

*

„Miłość, jak wino uderza do głów..." — śpiewa z przejęciem pani Renata, która właśnie niedawno skończyła dziewiętnaście lat, a w czerwcu zdobyła maturę z Zespołu Szkół Ekonomicznych, u dawnych „Vetterów" przy ulicy Dąbrowskiego.

Ale z recytowaniem jest gorzej, bo Renata wierszami sobie dotąd specjalnie głowy nie zaprzątała. Natomiast uczęszczała pilnie (przez cały okres nauki w liceum) na lekcje śpiewu, prowadzone w Domu Kultury Kolejarza.

Jest pani Renatka miłą, wysoką i wczupłą blondynką. Jeszcze trochę po uczniowsku zachowująca się, ale równie jak jej poprzedniczka, pani Basia, wystraszona swoją, od niedawna dopiero zajmowaną pozycją za biurkiem w jednej z lubelskich instytucji.

Także blondynką jest dwudziestoletnia pani Iza. Ale ona, w odróżnieniu od innych, otarła się już o teatr. Przez dwa sezony, jak twierdzi, tańczyła w zespole baletowym zawodowego teatru muzycznego.

Pani Iza wie już dobrze, że nie tylko same zdolności się liczą. Ale także sposób zaprezentowania się.

Pani Iza jest dyskretnie, lecz w sposób dobrze podkreślający jej rodzaj urody — umalowana, szykownie ubrana. I zachowuje pewność siebie, chociaż nie do przesady, bo to zwykle odnosi przeciwny skutek. Nikt w żadnej „komisji przyjęć" nie lubi zbytnich „pewniaków".

Pani Iza posiada jeszcze dodatkowy atut wobec pani Ani (tej wojskowej „estradówki"): przez siedem lat ćwiczyła gimnastykę artystyczną. To się może bardzo przydać na scenie. Natomiast gorzej jest z recytacją, a już zupełnie marnie prezentuje się próba śpiewu. Kierownik muzyczny zespołu nie potrafi skłonić jej do zaśpiewania ani jednej piosenki. Kandydatka uparcie twierdzi, że żadnej nie zna.

— To niech pani chociaż zaśpiewa „Sto lat!" — woła w końcu, z rezygnacją, akompaniator...

— Kiedy pani odeszła z baletu? — pytam.

— Przed tygodniem — odpowiada niezbyt chętnie pani Iza, spoglądając na mnie mało sympatycznie.

— Pokłóciła się pani w pracy?

— Nie, ja nie jestem kłótliwa — ucina krótko i odwraca się w inną stronę.

Tak samo, jak pani Ania, wie pani Iza, że w tym fachu, a przede wszystkim „na giełdzie", gadanie o sobie jest zupełnie niepotrzebne. Szczególnie, jak się nie wie, z kim się ma do czynienia. Jeszcze się trafi, uchowaj Boże, jakiś dziennikarz i wszystko opisze, wszystko przekręcając i ubarwiając po swojemu, dla lepszego efektu. Tutaj się walczy o miejsce na scenie, a nie o wątpliwy poklask wśród czytelników pisma.

*

Jedna z nich dwóch, najprawdopodobniej pani Ania lub pani Iza, dostanie tę upragnioną rolę w przedstawieniu dla dziecięcej widowni. Zyska pozycję adeptki estrady, z płacą: tysiąc siedemdziesiąt pięć złotych od występu, minus podatek dochodowy.

Za dwa lata, jak dobrze pójdzie, jak adeptka się nie zniechęci wyczerpującą terenową orką na szkolnych scenkach i estradkach, jeżeli nie rozleci się zespół, nie padnie przedstawienie z nieprzewidzianych dzisiaj przyczyn, jeżeli będzie miała dostatecznie dużo dobrej woli, zawziętości i pilności — będzie mogła wykonać „podejście" do egzaminu przed warszawską ministerialną komisją. Egzaminu dającego prawo do wykonywania zawodu.

A potem? Potem się zobaczy. Potem — to dopiero początek trudnej i niewdzięcznej profesji aktora.

Ale może dla wielu osób ta niepewna perspektywa to i tak coś znacznie lepszego, niż perspektywa szarej codzienności?

Honorowy Indianin w Lublinie

Rozmowa z Longinem Janem Okoniem

— Zaczęło się od...?

— Od zabawy w poetę. Miałem czternaście, prawie piętnaście lat. Zaczynałem pisać wiersze, traktowałem to pisanie jako wielką dla mnie sprawę, no i, że to się w rymy składało, myśl nasuwała patriotyczne treści. Był to przecież czas okupacji. Za poetę jednak się nie uważałem, nadto odczuwałem potrzebę tajemnicy.

— A czy teraz uważasz pisarstwo także za wielką sprawę?

— Tak, to pozostało. Inaczej, dlaczego miałbym ze swoimi książkami zwracać się do czytelników? Odczuwam potrzebę, aby iść do ludzi z ważkimi ideami i problemami, dzielić się z nimi tym, co we mnie i we współczesnym świecie, więc bez tego przekonania...

— A tajemniczość?

— Tę przerwali przyjaciele. Przypadek sprawił, że odkryli moje pisanie poetyckie koledzy, uczęszczający ze mną na komplety tajnego nauczania. Te utwory, które podobały się im najbardziej lub dotyczyły bezpośrednio okupacyjnej sytuacji, walki z najeźdźcą, przepisywali i kolportowali. Krótkie i ich zdaniem — najcelniejsze kaligrafowali na większych płachtach papieru, następnie nalepiali na ścianach domów, najczęściej na rogu dzisiejszych ulic Dzierżyńskiego i Waśniewskiego w Chełmie.

— Debiut prasowy kiedy?

— Tygodnik „Wici" opublikował w lipcu 1948 roku mój pierwszy wiersz pt. „Zapach chleba". Potem drukowałem już częściej w różnych pismach.

— Pierwsza książka?

— Półtora roku później, pod koniec 1949 roku, ukazał się w warszawskiej „Książnicy Młodych" tomik poetycki pt. „Łzy serca".

— A dziś, po 32 latach, posiadasz dziesięć tomików wydanych w zawodowych oficynach. Twój główny edytor, Wydawnictwo Lubelskie, oddaje właśnie do rąk księgarzy, bibliotekarzy i czytelników wybór twoich poezji pt. „Pamięć śpiewających rzek".

— Tylko część wierszy stanowi wybór z poprzednich tomików, większość to utwory nowe, z ostatnich lat i miesięcy.

— Masz dobry okres. W ubiegłym roku dopowiedziałeś twojej indiańskiej trylogii była powieść „Płonąca preria" w tym samym wydawnictwie, a Lubelski Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej lada tydzień przedstawi czytelnikom zbiór opowiadań pt. „Miłość silniejsza niż śmierć". Twoje grudniowe, sześćdziesiąte, urodziny otrzymają więc najbardziej pożądaną przez każdego autora opraw.

— Cieszę się z tego bardzo. Tym chętniej kończę właśnie dla tego samego wydawcy kolejną powieść indiańską — „Przełęcz grozy".

— Czy rzeczywiście nakłady twoich powieści o przodkach dzisiejszych Indian amerykańskich i kanadyjskich osiągnęły półtora miliona egzemplarzy?

— Tak, licząc nakłady wszystkich moich książek, niewiele brakuje do tej liczby.

— W naszym środowisku lubelszczyzny dotarłeś więc do największej liczby czytelników.

— Nie ja jeden. Przecież bliski tych liczb jest także Ryszard Jegorow.

— Co było propoczątkiem zainteresowania tematem indiańskim?

— Poza poezją adresowałem swoje książki przede wszystkim do odbiorcy młodzieżowego i dziecięcego. Dowodem „Legendy chełmskie", „Niezwykłe dzieje pięknej Anny", „Opowieści niedźwiedziego grodu" i, bliska już wydania, wspomniana tu „Miłość silniejsza niż śmierć". W młodości rozczytywałem się — czyniły to i czynią pokolenia następne, szczególnie chłopców i młodzieńców — w powieściach przygodowych, a wśród nich poznałem książki ukazujące Indian w zetknięciu z białym człowiekiem. Rzecz tylko w tym, iż oni byli, z woli autorów, reprezentantami zła, a biali dobra i cywilizacji. Nawet tak „humanitarni" powieściopisarze, jak np. James Fenimore Cooper i Karol May, którzy w części lub w całości ukazywali przychylnie bohaterów indiańskich, w istocie jedynie pozornie byli przyjaciółmi tubylców. Potrafili się wznieść tylko do pewnego stopnia nad innych. U nich dobry Indianin to ten, który współpracuje z białymi — z tymi bardziej sprawiedliwymi wśród kolonizatorskich najeźdźców. Obiektywnie był on, jest on w ich powieściach i scenariuszach wielu innych, renegatem swego pokolenia, nawet narodu. Przecież w ostateczności — chce tego czy nie — służy i sprzyja przemocy białego człowieka. Wprawdzie tej łagodniejszej, jakby bardziej humanitarnej.

— Do czego zdążasz? Zapragnąłeś ten porządek odmienić? Przecież historii nie można poprawiać ani zmieniać. Była taka, jaka była. Teraz o tym sporo mówimy na obszarze środkowej Europy.

— To oczywiste, ale ja postanowiłem właśnie ukazać dzieje Indian i europejskich osadników zgodnie z historią a więc z prawdą. Cała literatura piękna i historyczna dotąd usprawiedliwiała kolonizację i wszelkie nieprawości, jakie ona z sobą niosła: także wyniszczanie milionów czerwonoskórych. Tworzyła też jawną mistyfikację. Jakże to ostatni Mohikanie mogli wiernie i szczerze służyć mordercom ich plemienia? A prawda o rzekomo pokojowych i kolaborujących Apaczach jest taka, że to właśnie oni bronili się i walczyli rozpaczliwie aż do 1912 roku. Czytamy Maya i silna sugestia autora każe nam wierzyć, że Winnetou zginął śmiercią bohatera z rąk niedobrych Dakotów. Tymczasem w oczach współplemieńców i innych plemion poległ nie jako patriota, ale zdrajca. Unkas u Coopera także.

— Jest to rozumowanie przekonywające, jakże odmienne od obowiązującego wcześniej. Powiadasz więc, że zapragnąłeś dać świadectwo prawdzie?

— Stało się to dla mnie sprawą najważniejszą, tym bardziej, że dyskryminacja i wyniszczanie tego wielkiego narodu trwa. Zacząłem zbierać materiały o wodzu Ottawów — Pontiacu. W tym czasie natrafiłem na książkę która odwróciła cały mój pisarski los, zaabsorbowała na wiele lat, być może na resztę mojego pisarskiego życia. Była to „In the Days Tecumseh" F. Graya. Dowiedziałem się z niej więcej o wodzu Tecumsehu, ale przede wszystkim o żołnierzu T. Kościuszki, który u boku tego wielkiego Indianina przez dziesięciolecia walczył o wolność i podstawowy byt prawowitej ludności amerykańskiego kontynentu. Był nim Ryszard Kos. Potem znajdowałem też nazwiska innych Polaków, którzy opowiedzieli się po sprawiedliwej stronie.

— Powstała więc twoja trylogia: „Tecumseh" (rok 1978), „Czerwonoskóry generał" (1979) i „Śladami Tecumseha" (1986) oraz wspomniana już powieść z lat po śmierci tego wojownika, ale również z udziałem Ryszarda Kosa — „Płonąca preria" (1986). Wznowienia, setki tysięcy egzemplarzy...

— Dopełni te cztery książki „Przełęcz grozy". Gromadzę materiały do nowej powieści „indiańskiej" o zbrojnym powstaniu Inków przeciw Hiszpanom na obszarze dzisiejszego Peru. Zainteresowała mnie nadto legenda współczesna o dzickiego zamku o Polce, która poślubiła Indianina.

Fot. Przemysław Ostrzyżek

— Coś takiego!? Prawda to czy tylko baśń?

— Za wcześnie o tej powieści szerzej mówić.

— Widzę w twojej pracowni wielką bibliotekę, nazwijmy ją: indiańską, przede wszystkim po angielsku. Dostrzegam numery czasopisma wydawanego przez plemię Mohawków z podnowojorskiego rezerwatu: „Akwesasne Notes", a obok kalumet, czyli ogromną, może siedemdziesięciocentymetrową fajkę pokoju.

— To dowody, trwającego od dawna, stałego, korespondencyjnego kontaktu z Mohawkami. I własnego zbieractwa.

— Posiadasz liczne wyróżnienia za pracę pedagogiczną w Chełmie, wysokie odznaczenia państwowe, z Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski włącznie. Na wniosek młodych czytelników jesteś również Kawalerem Orderu Uśmiechu. A od potomków bohaterów twoich książek czy otrzymałeś jakieś dowody uznania?

— Liczne. Wiele mówią listy, przesyłki literatury naukowej i beletrystycznej o Indianach. Takiej fajki nie otrzymuje się jedynie z kurtuazji. Ona symbolizuje u Indian nadal wielkie idee szlachetne wartości. Nadto jestem od dziesięciu lat honorowym członkiem Międzynarodowego Ruchu Obrony Praw Indian.

— Od kilku miesięcy jesteś mieszkańcem Lublina. Przed miesiącem zaczął pracę w tym mieście twój bratanek, także poeta i prozaik, Zbigniew Waldemar Okoń. Czy utrzymujesz nadal związki z Chełmem?

— Emocjonalne. Osiedlenie się w Lublinie nie zrywa moich serdecznych więzi z miastem dzieciństwa i dojrzałej pracy. Tam spędziłem życie tam posiadam rodzinę i życzliwych ludzi. W miarę moich możliwości będę współpracować z kolegami po piórze, szczególnie z Klubu „Pryzmaty", i rodzinną miejscowością.

— Dziękuję za rozmowę i dołączam się w imieniu redakcji i swoim do tych serdecznych życzeń, jakie napływają teraz do ciebie z okazji sześćdziesiątej rocznicy urodzin.

— Dziękuję.

Rozmawiał: **Tadeusz Jasiński**

Listy do KAMENY

LIST W SPRAWIE POEZJI

Drodzy Przyjaciele!

Chcemy podzielić się z Wami naszą wielką radością i wrażeniami ze spotkania z poetą. Jesteśmy uczniami kl. III e Szkoły Podstawowej nr 8 w Chrzanowie. Interesujemy się poezją sami piszemy wiersze. A zaczęło się to wszystko od konkursu literackiego dla dzieci, organizowanego przez „Echo Chełmka", w którym pięć naszych koleżanek zdobyło nagrody i wyróżnienia. Laureaci tego konkursu spotkali się z bielskim poetą Mieczysławem Stanclikiem. Zorganizowaliśmy więc spotkanie następne z poetką Lucyną Szubel — prezeską grupy literackiej „Gronie". Pani Lucyna Szubel jest mieszkanką Chrzanowa.

W tym roku 20 listopada zorganizowaliśmy nie tylko dla swojej klasy, ale dla szkoły spotkanie z krakowskim poetą Tadeuszem Śliwiakiem — autorem pięknych i śmiesznych wierszy dla dzieci. Jeszcze dziś jesteśmy pod wrażeniem tego spotkania! Przygotowaliśmy inscenizacje kilku wierszy poety, również w teatrze cieni chińskich. Tak, bo mamy wiesny teatr, którym opiekuje się nasza pani M. Oklińska (jest lublinianką). Słuchaliśmy pięknych wierszy czytanych przez autora, mieliśmy również wiele pytań. Najbardziej podobały się inscenizacje takich wierszy: „Polska — to nasz dom ojczysty", „Jesienny wiatr", „Krakowski hejnał", „Panie listopadzie", „Księżyc i poeta", „Diabeł i baba". Bardzo podobała się również wystawa rysunków-ilustracji do wierszy. Kilka Pan T. Śliwiak zabrał do Krakowa jako pamiątkę. Przy pomocy naszych rodziców wydaliśmy też mini-tomik poezji Pana Śliwiaka. Spotkanie naszemu gościowi bardzo się spodobało i wierzymy, że wkrótce znów się spotkamy.

Inscenizacje bajek przygotowujemy nie tylko z okazji spotkań. Wystawiamy nasze bajki kolegom z innych klas oraz na każdej imprezie dla rodziców: 3 III, Dzień Taty, Mikołajki dla rodziców, Dzień Matki, Ślubowanie I klas. Ponieważ Wasze pismo jest trudno dostępne w naszym mieście, mamy prośbę — jeśli skorzystacie z naszej informacji, to przyślijcie chociaż jeden egzemplarz do naszej klasowej kroniki. Będzie to cenna dla nas pamiątka.

Z serdecznymi pozdrowieniami kłania się Samorząd klasy III e

Lisowska Agnieszka
Bajer Łukasz
Pudo Marta

Szkoła Podstawowa nr 8
ul. Pogorska 8 c
32-500 Chrzanów
woj. katowickie

Autor pięknych i śmiesznych wierszy dla dzieci

Fot. Krzysztof Szulakiewicz

Ekran i widz

Taniec i nostalgia

KRĘCĄC film „Ginger i Fred", tę nostalgiczną a zarazem jakże pełną goryczy opowieść o ostatnim wielkim występie pary postarzałych tancerzy, którzy przed kilkudziesięciu laty zbierali brawa na scenach drugorzędnych musicalowych włoskich teatrzyków, Fellini pewnie się nie domyślał, że tworzy oto zarazem dzieło składające hołd pamięci wielkiego Freda Astaire'a. Film wszedł na ekrany w 1986 r.; w czerwcu następnego roku — niezapomniany gwiazdor kina musicalowego, tancerz, któremu partnerowały Ginger Rogers, Rita Hayworth, Cyd Charisse, Eleanor Powell, Audrey Hepburn i Leslie Caron, odszedł na zawsze... Liczył wtedy osiemdziesiąt osiem lat. I chociaż dwadzieścia lat wcześniej rozstał się zdecydowanie ze sceną i z planem filmowym, dla milionów ludzi był nigdy nie starzejącym się symbolem ich młodości.

Na przełomie lat trzydziestych i czterdziestych, kiedy przez światowe ekrany przewinęła się pierwsza fala „tanecznych" filmów Freda Astaire'a i jego najznakomitszej partnerki, złotowłosej, „płomiennej" — jak o niej pisano — Ginger Rogers, para ta zyskała nie tylko zawrotną sławę, ale także... licznych naśladowców. Tancerzy, którzy naśladowali nie tylko samą sztukę, lecz również urodę i sposób ubierania się Ginger i Freda. Publiczność przyjmowała tych naśladowców niemal z takim samym aplauzem, jakby to byli autentyczni bohaterowie „Cylindra" czy „Amandy", którzy zeszli do niej, na chwilę, z ekranu. Ginger i Fred to była wówczas młodość, radość życia, nowy styl tańca, nowy sposób bycia, nowy wspaniały świat. Nowy Jork, Broadway, drapacze chmur, w ogóle — Ameryka! Kraj, który tak bardzo imponował ówczesnej Europie. Sam Federico Fellini liczył szesnaście lat, gdy Fred Astaire nakręcił swój pierwszy film z Ginger Rogers, i o tym także trzeba pamiętać, oglądając dziś na ekranie „Ginger i Freda".

Jest film Felliniego opowieścią nostalgiczną, bo odwołującą się do epoki, która już odeszła na zawsze, wyidealizowana, czysta i piękna we wspomnieniach; nostalgiczną — bo uderzającą w struny młodości, która już nie wróci. Jest „Ginger i Fred" filmem pełnym goryczy i gniewu pod adresem dzisiejszego świata, jego mass mediów, przeżuwających z nieustającą, zachłanną obojętnością wszystko to, co dobre i złe, wielkie i mierne, mądre i głupie, rzucając następnie przed oczy widzów bezwartościowy produkt, owinięty w efektownie lśniący celofan.

Oto filmowi — „Ginger" oraz jej dawny partner a zarazem kochanek, „Fred", spotykają się po latach w hotelu na peryferiach wielkiego miasta, odnalezieni w różnych, odległych od siebie miejscowościach Italii przez organizatorów wielkiego telewizyjnego show, który ma przedstawić niezwykłe osobistości. Zarówno te — legendarne, jak i te — współczesne. A może bardziej tu nawet chodzi nie o osobistości, co o „fenomeny". Tak, o fenomeny. Bo w tej imprezie sam człowiek liczy się najmniej. Czasem liczy się na równi ze zwierzęciem jako istotą żyjącą. Dla telewizyjnego prezentera równie atrakcyjny jest stary, bohaterski admirał (cóż z tego, że zdziecinniały i zramolały), jak.. krowa o nieprawdopodobnych wymionach. „Bohaterów" występu przepędza się niczym stado owiec — poprzez byle jak zorganizowane próby, przez garderoby i pomieszczenia charakteryzatorskie. Popychani i poszturchiwani przez nijakich „asystentów" reżysera, niegdysiejsi wielcy i niezwykli bohaterowie i idole oczekują karnie, pokornie, za kulisami na swoje kilkuminutowe, ostatnie „entrée" przed telewizyjnymi kamerami, za którymi czai się ciemność i pustka...

Dlaczego godzą się na to upokorzenie, na takie... upodlenie? Z ambicji? Z próżności? Dla pieniędzy, których większości z nich brakuje? Nic podobnego. Oni chcą zawrócić na chwilę czas. Przeżyć raz jeszcze, za każdą cenę, miłość. Poczuć raz jeszcze smak tego, co się dawno skończyło.

„Ginger", porzucona niegdyś przez „Freda", jest dziś kobietą zamożną, właścicielką dobrze prosperującego przedsiębiorstwa, ma dzieci i wnuki oraz tak zwaną pozycję społeczną. Od lat już nie ma nic wspólnego ani z tańcem, ani ze sceną. „Fred" — pozostał na scenie. Ale to już tylko cień dawnego, oklaskiwanego tancerza, strzęp niegdysiejszego idola; z trudem wiążący koniec z końcem, postarzały przedwcześnie estradowy aktorzyna.

I... cóż z tego, skoro wystarczy jedna chwila wspomnień, kilka pas tanecznych wykonanych wspólnie, spojrzenie na wyjętą z walizki starą, od lat nie używaną białą suknię naśladującą strój Ginger Rogers, na przykurzony frak i podniszczony cylinder, aby tych dwoje, zupełnie już obcych sobie ludzi, poczuło się przez chwilę... wolnymi i szczęśliwymi?!

Co jest właściwie ważniejsze w życiu? — wydaje się pytać, postarzały jak jego bohaterowie, znakomity reżyser filmowy Federico Fellini. Ulotny miraż czy konkretna realność? Życie czy wyobrażenie o życiu? Teraźniejszość czy wspomnienie? Gdzie przebiega granica między ludzką małością i śmiesznością a wzniosłością?

Sam wielki Fred Astaire wydawał się stronić od podobnego rodzaju pytań i nie mieć podobnych jak bohaterowie Felliniego dylematów. W pewnym momencie postanowił świadomie zatrzymać swoją karierę w miejscu i nigdy już więcej nie konfrontować dawnych dokonań i umiejętności ze swymi aktualnymi możliwościami. A także — nie przeciwstawiać czasów młodości obecnemu wiekowi.

Kiedy ukończył sześćdziesiąt dziewięć lat, to znaczy w 1968 r., nakręcił ostatni film, „Tęcza Finiana", w którym partnerowała mu Petula Clark i który reżyserował Francis Ford Coppola. I powiedział: „dość". Twierdził, że nie chce się czuć jak mit siebie samego. Być żywym mitem.

Ale dla innych był mitem, który pomagał im żyć codziennością. Był nim dla „Ginger" i dla „Freda", dla kinowych widzów, dla Felliniego. I także — dla pary doskonałych odtwórców bohaterów filmu — Giulietty Masiny i Marcello Mastroianniego.

M. D.

Londyńska kutia

Dokończenie ze str. 1

lem o framugę drzwi. „Żebym chociaż przynajmniej mogła umrzeć w Polsce".

Na miejskiej ulicy ochładza nasze twarze szorstki, morski wiatr. Nie chodzą już tędy górale i nie dudni zadziorny polski głos. Miasto stoi w swoim upiornym antymgielnym świetle i szemrze tysiącami poplątanych spraw. W greckim domu obok też siedzą za stołem. W wysokich szklankach połyskuje białe wino, a z pokoiku na piętrze wylewa się na ulicę ostry dygot muzyki heavy-metal.

I dopiero na pasterce w kościele na Devonii uda nam się pochwycić swojsko-polski klimat. Na ogromnym parkingu, wśród nowoczesnych samochodów znów usłyszymy to roznamiętnienie wspólnych polskich rzeczy. Obok zgrzybiałych kombatantów ustawią się ich dzieci, ale najmłodsze pokolenie już nie mówi po polsku. Czy to też przenikanie innego już pogranicza? A może tylko po prostu odwrót od własnych korzeni.

W długiej drodze powrotnej, strumieniami jasnych ulic towarzyszyć nam będzie przypadkowy żebrak. Najpierw posłucha ciekawie naszej dziwnej mowy, a później wygłosi po swojemu pełen żalu monolog. Długo jeszcze jego głos będzie gonił za nami, wciąż tak samo odległy i tak samo beznamiętny. Przypomnę go sobie potem i tę londyńską kutię, i słowa pani Anny, kiedy wśród irackiej pustyni huknie polska kolęda. Będę pamiętał to wszystko i później, gdy zasiądę już do wigilii wśród własnej rodziny. Ów bowiem krótki moment pojednania świata zawsze ludzi przewrotnie wzbogaca w poczucie jedności. Gdziekolwiek by nas rzuciły poplątane losy.

Piotr Beck

Łapacz ludzi

Dokończenie ze str. 6

wyszła na jaw, utraciłby całą swoją reputację jako łapacza osób ściganych i nie znalazłby więcej pracy.

W momencie aresztowania Burton stara się do minimum ograniczyć stosowanie siły. Mimo to jest jednak zawsze przygotowany na najgorsze. Z tego powodu po całym jego domu walają się rozmaite ciężarki oraz przyrządy służące do różnego typu gimnastyki i zaprawiania ciała, dzięki których stosowaniu utrzymuje się w formie. Obok łóżka ma zawieszony worek bokserski wielkich rozmiarów, który w czasie rannej gimnastyki gwałtownie okłada pięściami. „Siła, szybkość i odwaga to trzy główne cechy dobrego »bounty huntera« — wyjaśnia. — Dwie pierwsze tracą znaczenie wraz z upływem lat, ale rekompensuje ich utratę ta trzecia cecha, która musi nawet wzrastać. Dlatego też chociaż mam już 47 lat oraz siwe włosy, potrafię z łatwością zapanować nad dużo od siebie młodszymi ściganymi. Mogą oni czasem być silniejsi lub też szybsi, ale rzadko są ode mnie sprytniejsi". A gdyby zdarzyło się, że okażą się jednak bardziej niż on przebiegli? Cóż, w takim przypadku pozostaje mu zawsze strzelba z przyciętą lufą.

Zajmowanie się chwytaniem ściganych przez prawo ludzi w zamian za nagrody nie oznacza, że człowiek spędza dzień na pościgach samochodowych, strzelaninie i walce na pięści. Przeciwnie, sam Burton przyznaje, że większość czasu zajmuje mu zbieranie informacji i czekanie na bieg wydarzeń. I często samo schwytanie ściganego nie ma w sobie nic ekscytującego. Znając inercję policji, wielu zbiegów ukrywających się przed wymiarem sprawiedliwości wierzy, że uda im się wykręcić sianem, nie czyniąc żadnych po temu wysiłków. „Może to brzmi niewiarygodnie, ale znaczna część ściganych jest przeze mnie znajdowana w domu, w miejscu pracy lub u narzeczonych — powiada Burton. — Zawód łapacza ludzi za nagrodą to w 95 procentach nuda, a w pozostałych 5 procentach zwykły strach".

Ale te 5 procent wystarcza, aby to, co robi, dawało mu poczucie przeżycia niezwykłych przygód. Ryzyko z tym związane jest tyleż poważne, co zupełnie niemożliwe do przewidzenia. Jak to było na przykład w Georgii, gdzie Burton udał się razem z pomocnikiem, aby ująć pewną handlarkę narkotyków. Po ujęciu skuł ją kajdankami i wsadził do furgonetki, aby zawieźć do Kalifornii. „Miała do dyspozycji cały tył furgonetki, skąd usunęliśmy wszelkie przedmioty, które mogłyby zostać użyte w charakterze broni i narzędzia agresji, został jedynie przyśrubowany do podłogi sedes — wspomina. — I jedyne, czego się nie spodziewaliśmy, akurat się oczywiście zdarzyło: po wykorzystaniu sedesu na załatwienie się, ta przeklęta baba zaczęła obrzucać nas swoimi ekskrementami". Burton zmuszony był zatrzymać się na drodze i zapłacić 30 dolarów jednemu człowiekowi, aby ten pozwolił mu skorzystać z pompy, pod którą zrobił sobie prysznic i umył samochód. Po przywiązaniu schwytanej do ławki Burton skierował samochód do najbliższego lotniska, gdzie więźniarkę wsadził do samolotu lecącego do Los Angeles: „Powrotna podróż kosztowała mnie dużo drożej niż planowałem, ale wolałem raczej zapłacić za ten jej przelot, niż spędzić dwa dni w samochodzie z taką »miotaczką gówna«".

Burtonowi utrudniają życie nie tylko przestępcy, ale i władze. Wielu policjantów nieufnie i podejrzliwie podchodzi do niego, widząc, jak krąży po mieście z pistoletem i strzelbą, wkracza do mieszkań obcych sobie osób i aresztuje ludzi bez nakazu sądowego. Już niejeden raz zdarzyło mu się być zatrzymanym i przeszukanym przez agentów policji, a w czterech przypadkach wylądował w więzieniu po kłótni z nimi.

Z tego, jak opisuje własną pracę, można byłoby wnioskować, że aby odnieść sukcesy w roli „bounty huntera", trzeba posiadać przenikliwość porucznika Kojaka, osobowość Woody Allena (w roli Zeliga) oraz ciało Mistera T. Ale już wiadomo, że Burton zawsze nieco przesadza. I chociaż ma ładnych parę kilo tłuszczu więcej niż Mister T., Burton może się poszczycić ujęciem 650 osób. Jego rekordowym osiągnięciem jest 13 aresztowanych w ciągu tygodnia; a jeżeli chcielibyście zajrzeć mu do kieszeni, to możecie się przekonać, że średnio za jednego dostarczonego ściganego dostaje ten bondsman 450 dolarów.

Raz jednak Burton zarobił za ujętego nawet 4700 dolarów. Chodziło tu o nadzwyczaj trudną sprawę, która wymagała od niego odbycia podróży do stolicy Meksyku. „W Meksyku gringo polujący na przebywającego tam ściganego łatwo może napotkać różne problemy. Ale też stosunkowo łatwo może je przezwyciężyć: wystarczy wsadzić rękę do portfela i posmarować tego, kogo należy — wyjaśnia Burton. — Najlepszą metodą jest opłacenie meksykańskiego policjanta, aby ten aresztował poszukiwanego, przeprowadził go przez urząd celny na lotnisku i wsadził do samolotu".

Za cenę kilkudziesięciu dolarów miesięcznie Burton utrzymuje sieć swoich informatorów, całkowicie zasługujących na wiarygodność. Ma ich wśród przedstawicieli różnych ras i zawodów. Jest tam i barman z lokalu o złej sławie, który wie wszystko o wszystkich. Jest i policjant, który woli zaoszczędzić sobie formalności i biurokratycznej ślamazarności związanej z wydaniem nakazu aresztowania i zostawia to „bounty hunterowi", aby ten ujął ściganego i dostarczył go bezpośrednio do więzienia. Jest nawet pewien były przemytnik kokainy, aresztowany przez Burtona kilka lat temu, który następnie został jego przyjacielem. „Ironia losu polega na tym, że o ile łowca nagród ma raczej kiepską opinię wśród zwykłych ludzi, to wśród przestępców jest bardzo szanowany — twierdzi Burton. — W więzieniu osadzony zbieg, dostarczony tam przez »bounty huntera« chwali się wszem i wobec: aby mnie ująć, musieli skorzystać z pomocy łowcy nagród".

Oczywiście, łowcy nagród nie mogą dziś korzystać ze swobód, jakie przysługiwały im w czasach Dzikiego Zachodu, gdy zbieg mógł być dostarczony „żywy lub martwy". „Jeśli ktoś sądzi, że może udawać kowboja i łapać swoją ofiarę, stosując bez żadnego powodu środki przemocy lub broń palną, to w tym fachu nie ma co szukać — twierdzi Bob Burton. — Gdy ktoś przyprowadzi ze sobą więźnia w opłakanym stanie, może zostać oskarżony nawet o znęcanie się nad nim". Jednak w przypadku stosowania przez ściganego oporu, „bounty hunter" ma pełne prawo posłużyć się nawet mniej delikatnymi metodami. Jak powiada Burton: „jeżeli tego chce, to będzie to miał!".

APN specjalnie dla „Kameny"

Moskiewskie rewelacje teatralne

NOWY sezon teatralny w Moskwie zapowiada się nad wyraz ciekawie. Podstaw ku temu, by tak sądzić, jest wiele. Minione zjazdy Związków Działaczy Teatralnych RFSRR i ZSRR — nowych, niedawno utworzonych organizacji twórczych. Zmiana kierownictwa szeregu moskiewskich zespołów teatralnych, reorganizacja innych (przede wszystkim MChAT-u), powstanie nowych organizmów teatralnych (teatrów studyjnych, które otrzymały w tym roku status profesjonalny jest już ponad dziesięć), działających na zasadach rozrachunku gospodarczego. Kompleksowy eksperyment, który zapewnił samym zespołom dużą swobodę twórczą, organizacyjną i ekonomiczną.

Wszystko to w sposób istotny wpłynęło na zmianę oblicza teatru; plany repertuarowe stają się bardziej różnorodne i śmiałe.

I tak, jeśli do niedawna reżyserzy, zwracając się ku klasyce, sięgali najczęściej po znane, powiedziałbym nawet — oklepane sztuki z repertuaru klasyki rosyjskiej i światowej, to dziś ich uwagę przyciągają utwory rzadko wystawiane. Na przykład w planach na nowy sezon dwa zespoły moskiewskie umieściły „Biesy" Dostojewskiego, które w ciągu 70 lat władzy radzieckiej ani razu nie były wystawiane na scenie.

Ogólnie udział klasyki, zawsze zajmującej honorowe miejsce w repertuarze radzieckich teatrów, znacznie się zmniejszy, przy czym reżyserzy sięgną głównie do tragedii historycznych. Będzie to m.in. „Borys Godunow" Puszkina w Teatrze na Tagance (notabene, teatr ten rozpoczyna swój sezon z nowym głównym reżyserem w osobie znanego aktora i reżysera filmowego Nikołaja Gubienki), „Juliusz Cezar" Szekspira w Teatrze Małym. Upolitycznienie myślenia, charakterystyczne dla świadomości społecznej w okresie przebudowy, wywarło również wpływ na wybór utworów klasycznych.

Reżyserzy i aktorzy, jak zresztą wszyscy ludzie radzieccy, fascynują się teraz utworami pisarzy zapomnianych, mało znanych bądź niezasłużenie pozostających w cieniu, autorów, których nazwiska wydobyły dziś na światło dzienne liczne czasopisma literackie. W Teatrze Młodego Widza z dużym powodzeniem idzie „Psie serce" Bułhakowa, jedna z najlepszych premier końca ubiegłego sezonu. Sceniczna wersja „Psiego serca" została zaprezentowana również w Teatrze Dramatycznym im. Stanisławskiego. W MChA-cie (mam na myśli nowy zespół, który będzie grać w budynku przy ulicy Moskwina i na którego czele stanęła artystka ludowa ZSRR Tatiana Doronina) trwają próby „Mieszkania Zojki" Bułhakowa.

Reżyserzy rozważają możliwość wystawienia utworów Nabokova, powieści Pasternaka „Doktor Żywago", „Zmierzchu" Babla, „Małego biesa" Sołoguba, sztuk Andrejewa...

W ubiegłym sezonie wystawiono sporo pozycji współczesnej dramaturgii światowej — sztuki Cocteau i Anouilha, Becketta i Ionesco, Albeego i Mrożka. Tendencja ta będzie kontynuowana również w tym sezonie: w planach repertuarowych teatrów im. Gogola i im. Wachtangowa widnieją sztuki Frischa, w Teatrze Satyry — sztuka Osborne'a, do twórczości Mrożka sięgnie Teatr im. Mossowietu.

Ważne miejsce w polityce repertuarowej zajmują inscenizacje współczesnej prozy radzieckiej. Ubiegły sezon zapoznał widza z inscenizacją „Smutnego detektywa" Astafiewa — utworu, który wzbudził ogromne zainteresowanie czytelników i krytyki. W nowym sezonie Teatr im. Leninowskiego Komsomołu pracuje nad przeniesieniem na scenę powieści Astafiewa „Królowa ryb". Teatr „Sowriemiennik" zaproponuje widzom spektakl według powieści Ajtmatowa „Szafot", która zdobyła już światową sławę.

Nie pomylę się chyba, jeśli powiem, że największym wydarzeniem literackim mijającego roku stała się powieść Rybakowa „Dzieci Arbatu", opublikowana w miesięczniku „Drużba Narodow". Dwa teatry odważyły się wystawić ten utwór: MChAT na czele z Olegiem Jefremowem, którego zespół działa w otwartym po gruntownej restauracji, „starym" budynku teatru przy ulicy Chudożestwiennyj Projezd, oraz Teatr im. Wachtangowa, który rozpoczął nowy etap działalności pod kierownictwem Michaiła Uljanowa, wybitnego aktora, grającego na tej scenie już od ponad trzydziestu lat. Dodajmy, że sam teatr wachtangowski mieści się na Arbacie — właśnie tam, gdzie mieszkali bohaterowie powieści Rybakowa... W planach repertuarowych figuruje również powieść Dudincewa „Białe szaty".

Zwróćmy uwagę na fakt, że chociaż w tym roku obchodzono uroczyście 70-lecie Rewolucji Październikowej, w odróżnieniu od lat poprzednich teatry nie przygotowały specjalnych, jubileuszowych „obowiązowych" spektakli, bezpośrednio związanych z tą datą. Chociaż, oczywiście, grane są spektakle, poświęcone rewolucji i jej wodzowi. Na przykład na scenie Teatru im. Wachtangowa idzie „Pokój brzeski", według niedawno opublikowanej sztuki Szatrowa.

Wszystkie wymienione pozycje — klasyka, współczesna proza radziecka, dramaturgia światowa — z pewnością nieco odciągnęły teatr od współczesnej sztuki radzieckiej. A może nawet sama ta sztuka okazała się niegodna, by zająć czołowe miejsce w repertuarze? Mimo to zespoły nie pominęły takich autorów, jak Mereżko, Roszczin, Czerwiński. Premiery spektakli według ich utworów odbyły się w teatrach im. Mossowietu i im. Stanisławskiego, w MChA-cie i Centralnym Teatrze Armii Radzieckiej. Pozwala to mieć nadzieję że kontakt teatru i dramaturgii radzieckiej, nieco osłabiony w ostatnich latach, umocni się w przyszłości.

Borys Lubimow

Bez klaki

Sługa i pan

OD kilku sezonów w lubelskim teatrze dramatycznym sięga się po sztuki, które są wystawiane ze sporym powodzeniem w dużych ośrodkach kulturalnych. Były już: „Opera za trzy grosze", „Okręt", „Białe małżeństwo", „Dusia, Ryba, Wal i Leta". Teraz przyszła kolej na „Garderobianego" autorstwa angielskiego dramatopisarza Ronalda Harwooda.

„Garderobiany" to utwór niejednoznaczny. Może być traktowany jako rzecz o artystach w ogóle, a ściślej o funkcjonowaniu w świecie sztuki, gdzie nie ma równych, gdzie nawet wśród obiektywnie miernych tworzą się gwiazdy i ich satelity. Każda twórczość, wśród niej i aktorstwo, wymusza hierarchizowanie dokonań artystycznych. Nawet w tak lichym teatrze objazdowym, jaki jest pokazany w tej sztuce powstają wyraźne struktury. Zespół rozpada się na tych, co zawsze w rolach pierwszoplanowych (Sir, Lady) i całą resztę od ogonów i „robienia burzy" — kiepskich efektów akustycznych. Ale razem tworzą zamknięty świat teatru, w którym są sobie bardzo potrzebni. Zajmowana w tej małej skali pozycja jest wynikiem dookreślenia jej przez pozostałych członków zespołu. Z chwilą, kiedy braknie kogoś rujnuje się wypracowany porządek tak dokładnie rozdane są role do odegrania poza sceną.

Aktorzy z prowincjonalnej trupy to ludzie złaczeni magią teatru. Ci, którymi nie owładnęła dostatecznie, odchodzą jak Irene do innego życia, przeciwstawionego wyraźnie byciu na scenie. Pozostali pielęgnują w sobie, nawet wbrew realnym przesłankom, nadzieje na sukces, na doczekanie tej jednej jedynej roli, najprawdziwiej oddającej ich możliwości. Żyją w kręgu namiętnych uczuć do teatru — miłości i nienawiści, ciągłych marzeń i przekleństwa wybranej drogi, druzgocącej prawdy i pięknych złudzeń.

Można na tę sztukę spojrzeć również jako na studium związku dwu różnych osobowości, zadziwiającej wręcz symbiozy ludzi teatru — aktora i garderobianego. Ten ostatni pozbawiony zadań aktorskich na scenie, przyjmuje niezliczoną ilość ról, usługując dyrektorowi teatru. Jest słuchaczem jego natchnionych mów powiernikiem i poufałym doradcą, najcierpliwszym opiekunem, obrońcą interesów, podporą psychiczną, ale też uniżonym sługą, człowiekiem, którego znikomość ma podkreślać wielkość pana. Norman, walcząc o honor Sira, ochraniając go przed naporami z zewnątrz i kompromitacją, daje świadectwo głębokiego wniknięcia w jego psychikę, wielkiej subtelności uczuć i autentycznego przywiązania. W zamian spodziewa się chociażby wdzięcznej pamięci, jak pokazuje dalszy bieg wypadków nazbyt optymistycznie. Jest to dramat koegzystencji człowieka bogatego wewnętrznie i kabotyna, przy czym świat kręci się wokół tego drugiego.

Ujrzeliśmy więc na scenie „teatr w teatrze". Zastosowanie tego chwytu przez autora sprawia, że konieczna jest ciągła zmiana zadań aktorskich przez niektórych wykonawców. Sir (Włodzimierz Wiszniewski) wielokrotnie przechodzi od podniosłego stylu gry, jako odtwórca tragicznych szekspirowskich postaci, do wcielania się w osobę załamanego nerwowo bankruta artystycznego. Niełatwe to zadanie przypadło W. Wiszniewskiemu dla ukoronowania trzydziestego sezonu teatralnego w Lublinie.

Rolę zostającą nieco w cieniu jubilata, ale jakże zasługującą na uznanie, zagrał Henryk Sobiechart (jako tytułowy garderobiany). Przez dwa akty obecny na scenie, wciąż dostosowujący się do nowej sytuacji dramatycznej, raz jest wesołkiem, raz refleksyjnym odbiorcą wszystkiego wokół, gra osobę bezwzględną i zaraz potem tkliwego opiekuna.

Ten spektakl to popis wymienionych aktorów. Ich wysiłki uzupełnia Nina Skołuba, kreująca Lady najlepsza w scenie gdy jest zmęczona i zawiedziona teatrem oraz życiem z Sirem kobieta. Trochę przerysowana zdaje się być postać Madge (Teresa Filarska). Ascetyczny, staropanieński strój w połączeniu z kanciastymi, nerwowymi ruchami przydawał postaci jednoznacznie komediowy wymiar, co chyba niezamierzenie spłaszczało rolę.

Spektakl jest dziełem Tadeusza Kijańskiego, który poprowadził go „przezroczyście" pod względem reżyserskim. Prawie nie widać narzuconej koncepcji scenicznej. Sam tekst organizuje przebieg dramatu. Wyjątek stanowi wprowadzenie kwestii na stronie, które ma do wypowiedzenia w pewnym momencie sztuki każdy z aktorów. Ta sekwencja jest szczególnie uteatralniona — w kręgu upiornie bladego światła, czyniącego z ludzi marionetki, znieruchomiałe postacie recytują coś, co można by nazwać credo życiowym. Natenczas akcja na scenie zamiera. Dopiero zmiana świateł przywraca ją znowu. Każdorazowo taki zabieg poprzedzony jest bardzo agresywnymi dźwiękami. Powtarzający się akord zaskakuje widza, gdyż nie poprzedza go żaden sygnał akustyczny, nie jest zwieńczeniem napięcia emocjonalnego. Niekiedy irytuje swą nagłością i nie uzasadnioną siłą. Dopiero od pewnego momentu staje się czytelny jako sygnał do przeniesienia w inny wymiar, do swoistego obrachunku ze sobą, do wiwisekcji psychicznej.

Z prawej Włodzimierz Wiszniewski (Sir), Henryk Sobiechart (Norman)
Fot. Andrzej Polakowski

Reżyser przedstawienia jest również autorem scenografii — prostej i funkcjonalnej. Jedność miejsca akcji pozwala ograniczyć ją do wnętrza ubogiej garderoby, nad którą zawisła uproszczona sylwetka samolotu, uzmysławiająca, że rzecz dzieje się w Anglii w 1942 r.

Nakładające się plany dramatyczne — od szekspirowskich realiów po wydarzenia połowy XX w. — stwarzają dodatkową możliwość wyrażenia ponadczasowych problemów jakie rodzą stosunki między ludźmi.

Przeglądając repertuar naszego teatru z satysfakcją można stwierdzić, że w tym względzie dotrzymujemy kroku Warszawie, Łodzi, Krakowowi. Teraz pozostaje obejrzeć realizacje zamierzeń ucieczki od prowincjonalizmu i skorzystać z okazji do porównań.

Magdalena Jankowska

Wspomnienia Adama Ochockiego z lat wojny (10)

WYROK

Śledowatiel świdrował mnie wzrokiem. Od czasu do czasu zaglądał do swych notatek, robił nowe. Myślałem, że moje argumenty trafiły mu do przekonania, że zaraz...

— Rasskażitie podrobno, kak wy zanimalis' diejatielnostie, protiw Sowietskowo Sojuza?

— To krzywdzący mnie zarzut panie sędzio! Moja cała działalność od chwili znalezienia się na ziemi radzieckiej sprowadzała się do ciężkiej walki o przetrwanie. Nie uprawiałem żadnej działalności politycznej!

— A kak wy ochaiwali żizn' u nas?

— Chociaż ciężko mi było czasami, nie narzekałem i nie ośmieszałem waszej rzeczywistości, o co mnie pan sędzia obwinia. Mimo represji jakich niesłusznie doznałem w Rybińsku i tutaj, nie żywię do was wrogich uczuć. Przeciwnie, mogę być wam wdzięczny, bo dzięki wam cało uniosłem głowę. We Lwowie aresztowano mnie przypadkowo przez zbieżność nazwisk z mymi kuzynami. Oni zarejestrowali się na powrót do Polski ja na pozostanie. Ale gdybym nie został wtedy zagarnięty, to Niemcy po zajęciu Lwowa mnie pierwszego by rozwalili ze względu na moje pochodzenie!

— Zakuritie? — wyjął papierosa i położył go na brzegu biurka, cofając się z krzesełkiem.

— Spasibo! Zakuriu.

— Powiedzcie, dlaczego w wędrówce przez Związek Radziecki oparliście się aż o samą granicę? Tadżykistan sąsiaduje z Afganistanem...

— Chyba nie podejrzewa mnie pan sędzia, że miałem zamiar sforsować Pamir? To nawet w normalnych warunkach nieosiągalny wyczyn dla doświadczonego alpinisty.

Spojrzał na zegarek.

— Na siewodnia chwatit. Skoro opiat' uwidimsa!

Starszy celi zasypał mnie pytaniami. Jak było? O co pytali?

Wykręcałem się jak piskorz, dając wymijające odpowiedzi. Upierałem się przy wersji z tym nieszczęsnym olejem, chociaż w czasie przesłuchania sędzia śledczy słówkiem o tym nie wspomniał.

— Jak wygląda ten śledowatiel? Jaki ma stopień?

— Kapitan. Zażywny, przystojny, blondyn.

— To twój rodak, Polak z pochodzenia. Starszy śledowatiel, jego familija Butowskij.

W pierwszym momencie uradowałem się. Co rodak, to rodak! Ale... jakie to ma znaczenie? Polak nie Polak, o żadnym sentymencie nie ma mowy. Oficer NKGB nie okaże względów podejrzanemu o tak poważne przestępstwa, jak współpraca z Niemcami, korespondencja z wrogiem, ośmieszanie życia w Związku Radzieckim, manipulacje kartkami.

Śledowatiel... Przed wojną w Polsce też była taka funkcja w aparacie ścigania. Wyniki przeprowadzonego przez policję dochodzenia trafiały nie jak dziś do prokuratora, lecz do sędziego śledczego, który nadawał sprawie dalszy bieg.

Po dwóch tygodniach znowu w nocy zajechała po mnie więzienna suka. Człowiek wyrwany z głębokiego snu mniej jest odporny na podchwytliwe pytania, nie potrafi precyzyjnie skonstruować odpowiedzi, łatwiej może się załamać. Ale ja trzymałem się dzielnie, nie miałem absolutnie nic do ukrywania i to był mój największy atut.

— Dlaczego wybraliście sobie na miejsce zamieszkania w Uljanowsku tę osamotnioną, położoną z dala od siedzib ludzkich chatkę? — brzmiało powitalne pytanie śledowatiela.

— To była skrajna ostateczność. Bezskutecznie poszukiwałem jakiegoś przyzwoitego kąta dla siebie, żony i dziecka.

— Odwiedzali was w tym domu Polacy?

— Odwiedzali.

— Coście robili? O czym rozmawialiście?

— O wszystkim i o niczym. Dużo o Polsce, o perspektywach powrotu do ojczyzny.

— No, no! Właśnie. I coście im mówili na ten temat?

— Że nasz powrót do Polski uzależniony jest od dwóch rzeczy: zwycięskiego zakończenia wojny i wyrażenia zgody przez władze radzieckie.

— Taaak... Śpiewaliście piosenki?

— Owszem.

— Jakie?

Dobra, jest jeszcze jedna okazja popisania się repertuarem Lopka Krukowskiego, którego piosenkami najczęściej raczyłem moich słuchaczy. I w pokoju starszego śledowatiela Butowskiego, w pokoju, którego ściany nieraz były świadkami dramatycznych rozmów i scen, rozbrzmiał, zaśpiewany przeze mnie sznaps-barytonem, kuplet:

Jak się nie ma, co się lubi,
to się lubi co się ma,
tę zasadę zawsze kładę,
co się tyczy moje ja.
Może w gruncie rzeczy wolę...

— Gretę Garbo, Negri Polę, ale biorę o tę porę nawet to, co Malcia da! — dokończył ku memu bezgranicznemu zdumieniu sędzia śledczy.

Skąd on zna słowa tej piosenki? Z całą pewnością nie słyszał jej w warszawskim kabarecie. Stanowisko, jakie zajmuje, wyklucza możliwość, iż przybył do Związku Radzieckiego w tym czasie, co my. To starsza generacja, na pewno od najmłodszych lat przebywa w ZSRR, może się tu urodził. Więc skąd? Raptem przypomniał mi się młody facet, który ni stąd ni zowąd zjawił się w naszej chatce na Zawołżu i ponad godzinę zmitrężył na poprawianiu działających bez zarzutu przewodów elektrycznych...

— Bezbłędnie pan sędzia dokończył zwrotkę tej piosenki. I z właściwym, polskim akcentem — powiedziałem z uznaniem.

Do pokoju wszedł pułkownik. Piękny, galowy mundur poza dystynkcjami zdobiły medale i inne odznaczenia. Śledowatiel wyprężył się na baczność i zameldował służbowo, kto i za co jest przesłuchiwany.

— Wstańcie! — zagrzmiał obracając się w moją stronę. — Nie widzicie, kto przed wami stoi? To pułkownik!

— Owszem — odparłem, nie kwapiąc się do zmieniania pozycji — ale to wasz pułkownik, panie kapitanie, więc chyba nie mam obowiązku oddawania mu honorów. Zresztą nie jestem wojskowym, kategoria „E"...

Oblicze śledowatiela spurpurowiało, a pułkownik machnął pobłażliwie ręką.

— Siditie, siditie...

— To obojętne, czy pan pułkownik każe mi siedzieć czy wstać, i tak będę siedział — wypaliłem.

Pułkownik wybuchnął śmiechem. Śledowatiel, widząc reakcję przełożonego, też rozchylił usta w uśmiechu.

— To dla was — powiedział pułkownik, zwracając się do mnie i położył na biurku nierozpieczętowaną paczkę „Biełomorów". — Wyrażacie zgodę, towarzyszu kapitanie?

— Da!

I dał. Nawet ognia mi użyczył. Po czym zasypał mnie gradem pytań. Obracały się wokół tych samych spraw: ja i Niemcy, jak i Alojzy, ja i kartki na chleb, a na zakończenie jak bumerang pytanie:

— A tiepier skażitie, kak wy zanimalis' diejatielnostoj protiw Sowietskowo Sojuza? — ale ton już nie był taki surowy jak uprzednio. A może mi się tylko wydawało?

Cela — dopros. Dopros — cela. Śledztwo przedłużało się w nieskończoność. Ile razy wyrywano mnie już ze snu na przesłuchanie? Nie powiem, żeby te nocne wizyty u sędziego śledczego specjalnie mnie męczyły. Przeciwnie, jakbym do nich tęskził. Jakieś urozmaicenie w monotonnym przebywaniu w zamknięciu, gdzie każdy kolejny dzień bliźniaczo jest podobny do poprzedniego. Wizyta klawisza, fasowanie chleba, posiłek obiadowy...

Gdy roznoszono po korytarzu zupę, jeden z naszych, zawsze ten sam, przylepiał się uchem do drzwi i pilnie nadsłuchiwał, uciszając nas gestami ręki. Po odgłosie zanurzanej w pojemniku chochli nieomylnie odgadywał, jaką zupą nas nakarmią — gęstą czy wodnistą.

— Siewodnia gałuszki... — oznajmiał z nabożeństwem.

I rzeczywiście w zupie pływały sytne kluski. A gdy plusk nie wypadał po jego myśli, krzywił się:

— Bałanda, idit ich mat'...

Rano, po obudzeniu się, więźniowie tradycyjnie opowiadali sobie, co się komu śniło i w związku z tym kolegialnie stawiano horoskopy: to dobrze, a to zły znak. Zanim ktoś zdążył otworzyć usta, zawołałem podekscytowany:

— Wiecie, co mi się śniło? Skrzynie pełne mydła! Co wy na to?

— Mydło? — starszy celi aż przysiadł z wrażenia. — To znaczy, że się wybielisz, niedługo wyjdziesz na wolność!

— Tak samo tłumaczę sam ten sen. Tych skrzynek z mydłem było może dziesięć!

Tego samego dnia wezwano mnie na przesłuchanie. Ale już nie wśród głuchej nocy, zaraz po obiedzie.

Śledowatiel był jakby inny niż zazwyczaj. Głęboka zmarszczka spłynęła mu z czoła. W kącikach ust błąkał się uśmiech.

— Siadajcie. Podpiszcie... — podsunął mi jakiś papier.

— Pan pozwoli, panie sędzio, że najpierw zapoznam się z treścią.

Nareszcie dowiedziałem się konkretnie, dlaczego osadzono mnie za kratkami. Zostałem aresztowany pod zarzutem przestępstwa określonego przez „Zakon ot siedmowo i wosmowo awgusta", ustawy z 7 i 8 sierpnia 1932, oraz artykułu 56 kodeksu karnego z 1940 r. Ustawa z 1932 mówiła o... grabieży mienia (!) i przewidywała za to minimum 10 lat. Na podstawie tejże ustawy, nie wykluczającej kary najwyższej, można było pociągnąć do odpowiedzialności obywateli od... 12 roku życia na przykład za zbieranie kłosów na kołchozowych polach, albo kołchoźników, którzy sypnęli garść kołchozowego zboża swym własnym kurom. Artykuł 56 kodeksu karnego przewidywał nie mniejsze wyroki dla „wrogów ludu i zdrajców ojczyzny". Po latach pod ten artykuł podciągnięto jeszcze kogoś: niejakiego Ławrentija Pawłowicza Berię...

Ale wtedy, u sędziego śledczego, nie miałem pojęcia, jakie kary niosą za sobą obie ustawy, nie zdawałem sobie sprawy co mi groziło. Zresztą już z pierwszych linijek podsuniętego do podpisu dokumentu wynikało, że wytoczone mi zarzuty nie potwierdziły się w śledztwie, wobec czego zostają anulowane. A więc nie zagarnąłem mienia socjalistycznego, nie współpracowałem z Niemcami, nie uprawiałem wrogiej działalności przeciwko Związkowi Radzieckiemu, nie zohydzałem i nie ośmieszałem warunków życia! Obwiniano mnie jedynie o nielegalne wejście w posiadanie kartek na chleb i za te machinacje mam stanąć przed sądem z takiego, a takiego artykułu.

Fala radości zalała mi serce. Kartki chlebowe? To drobiazg, ile ich było? Nie handlowałem nimi, nie spekulowałem, wykupiony chleb zjedliśmy. Dadzą mi miesiąc, no dwa, wojna niedługo się skończy, docierały do nas wieści o coraz nowych sukcesach wojsk radzieckich i aliantów, ogłoszą amnestię...

Ufff! Złożyłem zamaszysty podpis.

— Jaki wyrok mi grozi, panie sędzio?

— To zależy od sądu. Myślę, że niedługo znajdziecie się na wolności.

Jak bardzo chciałem go uściskać!

Niebawem wrócę do ciebie, córeczko! Będziemy się bawić, masz dwa latka, na pewno już ładnie mówisz „tata"!...

Jutro staję przed sądem! Do późna w nocy rozmyślałem, jaką przyjmę linię obrony, co powiem w ostatnim słowie.

Rano konwojent powiódł mnie do karetki. Tym razem suka została w garażu. Rozparłem się wygodnie na ławce. Po chwili wprowadzono Alojzego. Był jeszcze bardziej zarośnięty niż ja. Pomachaliśmy sobie ręką. Posadzono nas, zgodnie z przepisami, w przeciwległych końcach samochodu, żebyśmy nie mogli się porozumiewać.

Na ulicy, przed budynkiem sądowym, zobaczyłem Ludmiłę. Zasłoniła sobie oczy. Chyba przeraziła ją moja zmierzwiona broda i wąsy.

Nadjechał traktor, głośno warcząc. Kroczący obok mnie Alojzy odezwał się półgłosem, nie odwracając głowy w moją stronę:

— Pamiętaj, ja ci te kartki sprzedałem, a nie dałem. To dla twojego dobra. Mnie już nic... — urwał, traktor przejechał, a wiodący ze sobą rozmowę konwojenci nie zwrócili na nas uwagi. Dobrze, że Alojzy szedł z mojej lewej strony, inaczej nic bym nie usłyszał.

O co mu chodzi? Dlaczego mam zeznać, że sprzedał mi te nieszczęsne kartki? Przecież to go bardziej obciąży... Ale chyba wie, co mówi. Jest prawnikiem, zna się na tych różnych kruczkach...

Konwojenci wprowadzili nas do sali sądowej i zajęli miejsca, każdy przy swoim „kliencie".

Rozejrzałem się dokoła. Sala świeciła pustką. Zaledwie kilka osób zajęło ławki dla publiczności.

Podszedł do mnie cherlawy, utykający staruszek, o załzawionych wyblakłych oczach.

— Jestem pańskim obrońcą z urzędu... — przyjrzał mi się z bliska. — Taki młody, żal mi pana szczerze... Jak pan mógł popełnić tak ciężkie przestępstwo, godzące w nasze najżywotniejsze interesy? No nic, stało się, będę prosił sąd o łagodny wymiar kary.

Łagodny wymiar kary? O to prosi się w odniesieniu do autentycznych winowajców, a co ja takiego zrobiłem? Przyjąłem od przyjaciela tych kilka kartek?

„Idy, pachnyło k czortowej matieri!" — zakląłem w duchu ni to po ukraińsku, ni to po rosyjsku, i kategorycznym tonem oświadczyłem:

— Proszę się nie trudzić. Sam będę się bronił!

— Wasza wola — pokiwał trzęsącą się głową i odszedł, śmiesznie uginając nogę w kolanie. Chyba był zadowolony, że wcześniej wróci do domu.

Wszedł komplet sędziowski. Po odebraniu personaliów przewodniczący zapytał, co robiłem w Polsce do wybuchu wojny.

— Zajmowałem się zawodowo pisaniem...

— A co oskarżony pisał?

Mając w pamięci ostrzeżenie, żeby nie przyznawać się do dziennikarstwa, wypaliłem:

— Powieści — i ugryzłem się w język. Szkoda, że nie podałem się za szofera, ale było już za późno.

— Jakie powieści? Niech oskarżony wymieni tytuły.

U licha, brnę coraz bardziej. Przypomniałem sobie odcinkowe szlagiery, pisane przez mego brata i Jerzego Bolskiego.

— „Szczury Łodzi", „Wampiry Balut", „Człowiek szuka sprawiedliwości".

Tytuł tej ostatniej „mojej" powieści chyba przypadł sędziemu do gustu, bo pokiwał głową. Po czym przystąpił do odczytania aktu oskarżenia.

W miarę słuchania rzedła mi mina. Zarzuty były poważne. Alojzy popełnił malwersację. W ciągu kilku miesięcy przywłaszczył sobie znaczną

ilość kartek chlebowych, które spieniężał, do czego przyznał się w śledztwie. A ja, choć nic nie wiedziałem o jego machinacjach, byłem wymieniony jako wspólnik!

Teraz zrozumiałem, co oznaczały słowa Alojzego na ulicy: „Nie przyznawaj się, że ja ci kartki dałem, upieraj się, żeś je u mnie kupił". Wszystko jasne! Skoro je odbierałem, byłem wspólnikiem, tworzyliśmy grupę przestępczą, a jeżeli kupiłem sporadycznie — tylko jednym z jego klientów!

I gdy sędzia zapytał, czy Alojzy „pieriedawał" mi kartki, zaprzeczyłem gorąco:

— Niet. Nie pieriedawał, prodawał!

Sędzia zajrzał do protokołu przesłuchania w śledztwie.

— Przecież oskarżony zeznał: „pieriedawał"!

— Słabo znam rosyjski, te dwa słowa mają niemal identyczne brzmienie. Ale on mi je „prodawał"!

Przewodniczący poszeptał z asesorami i polecił zaprotokołować: „prodawał" (sprzedawał).

Alojzy przyznał się do winy, potwierdził zeznania, złożone przed sędzią śledczym.

— Co oskarżony chce powiedzieć w ostatnim słowie? — zwrócił się przewodniczący do mnie.

Nareszcie! Przyszła chwila popisania się złożoną w celi przemową.

— Nieświadomie wszedłem w posiadanie tych kilku kartek. Powinienem się domyślić, że pochodzą z nielegalnego źródła. Proszę o wyrozumiałość. Wasza armia stacza zwycięskie boje, lada dzień przygwoździ ostatecznie hitlerowską hydrę. Jesteście silni, niezwyciężeni, a tylko silni mają możliwość przebaczania zbłąkanym!

Po naradzie ogłoszono werdykt: Alojzy dostał dziesięć lat, mnie wymierzono trzy lata z zaliczeniem aresztu śledczego.

Zwiesiłem głowę. Byłem przekonany, że prosto z sali wyjdę na wolność, a tu czeka mnie dwuipółroczna odsiadka!

Starszy naszej celi był innego zdania.

— Etoż dietskij srok! Ani się obejrzysz, jak znajdziesz się wśród swoich. Nie wierzysz w sny, a przecież się sprawdzają. Śniło ci się mydło? Śniło. No i masz!

Nazajutrz przetransportowano mnie i Alojzego do więzienia. Wąskie korytarzyki, wykusze, krużganki, półokrągłe okna, kamienna posadzka — wszystko wskazywało, iż był to kiedyś budynek klasztorny.

W rozległej celi przebywało około trzydziestu więźniów w różnym wieku, z różnych środowisk. Wzdłuż obu ścian ciągnęły się na całą długość prycze. Z trudem znaleźliśmy skrawek wolnego miejsca i ułożyliśmy się obok siebie. Dla tych, co po nas przyszli tego samego dnia, miejsc zabrakło. Musieli rozłożyć się pokotem na posadzce. Jeden ulokował się niefortunnie przed olbrzymią parashą. Rano obudził się cały mokry, jakby wrócił spod ulewnego deszczu. Więźniowie, gdy dokuczył im w nocy pęcherz, nie zadawali sobie trudu, aby blisko podejść do zbiorowego nocnika: sikali z odległości metra, dwóch, nad leżącym.

Uwagę moją przykuł młody, może siedemnastoletni, sympatyczny chłopak. Unikał rozmów, głęboka zaduma osiadła na jego twarzy. Nucił półgłosem wstrząsające piosenki.

Proszczaj, moja mama,
proszczaj, dorogaja,
proszczaj i byt' może nawsiegda...
Ka mnie priszazłaz' tiuremnaja roszotka...

Przyssała się do mnie więzienna krata... To niemal poetycka przenośnia. Rosjanie kochają muzykę i śpiew, jak mało który naród.

Urozmaicano sobie czas i w inny sposób.

— Wybierzemy nowego starostę! — oznajmił podstawiony facet. — Stary troszczy się tylko o swój brzuch!

Rozejrzał się po świeżo przybyłych, szukając ofiary. Wybór padł na zażywnego djad'ke, którego ubiór, mowa i zachowanie zdradzały przybysza ze wsi.

— Chcesz się ubiegać o stanowisko starosty?

Chłopek-roztropek skwapliwie wyraził zgodę. Wiadomo, starosta blisko żłoba ma więcej przywilejów od szeregowych więźniów.

— Poddamy cię próbie. Ten człowiek — wskazał na swego wspólnika — będzie trzymał w złączonych przedramionach zapałkę. Jak ją wyciągniesz zębami po omacku, bez pomocy rąk — zostaniesz naszym starostą. Będę liczył głośno do stu.

Wspólnik wodzireja zakasał rękawy koszuli, przykląkł na pryczy i wyciągnął przed siebie ściśle przylegające w łokciach ręce, między które wetknięto zapałkę. Delikwentowi zawiązano oczy, okręcono go kilka razy dokoła, a w tym czasie tamten zmienił pozycję: odwrócił się tyłem, spuścił portki i wypiął dupsko.

— Nu-ka, naczynaj! — podał komendę wodzirej.

Ochotnik ruszył do przodu z pochyloną głową, jak byk atakujący torreadora.

— Odbij w lewo! Teraz prosto! Dawaj — wodzirej naprowadzał kandydata na cel, a nieszczęśnik zawzięcie dziobał nosem pryszczaty tyłek.

— Głębiej, głębiej! — zachęcało go audytorium, rechocąc ze śmiechu, zaś wodzirej głośno odliczał:

— Sześćdziesiąt trzy, sześćdziesiąt cztery, sześćdziesiąt pięć...

Delikwent rozpaczliwie operował nosem, bezskutecznie usiłując wydobyć nieobecną zapałkę.

— Niestety, czas minął — powiedział wodzirej i przystąpił do odwiązywania opaski. Nie spieszył się, by dać czas współtowarzyszowi zabawy na powrót do pozycji wyjściowej. — Widzisz, zapałka tkwi na swoim miejscu. Nie się nie martw, zrobimy inną próbę, może tym razem uda ci się zostać starostą!

(cdn.)

Muzyka młodzieżowa

Magik wskrzeszony

„LUDZIE estrady tylko wtedy cieszą się zadowalającym ich ambicje zainteresowaniem, jeśli potrafią wywołać ferment wokół swojej osoby, choćby za sprawą skandalu towarzyskiego czy obyczajowego" — zwykł mawiać w przypływie dobrego humoru Mick Jagger. Gniewny solista Rolling Stonesów nie stroni od skandali, ale też na brak zainteresowania narzekać nie może. Najnowsza, solowa płyta Mieka „Primitive Cool" rozchodzi się doskonale, a krytycy nie szczędzą pochwał jej autorowi.

Mechanizmy poruszające machinę zwaną show business nie są wcale obce rekinom, a nawet płotkom polskiego światka estradowego. Gdybyśmy spróbowali podsumować wszystkie fermenty kończącego się roku, okazałoby się, że jest ich całkiem dużo. Największym bez wątpienia zaskoczeniem, lub jak kto woli, fermentem, była decyzja o reaktywowaniu głośnej przed kilku laty grupy Perfect.

Prawdę mówiąc, mało kto wierzył w możliwość jej ożywienia. Moda na oparty gitarowy rock z „rąbanymi" akordami dawno przeminęła — twierdzili teoretycy rozrywki. Era Perfectu bezpowrotnie odeszła — głoszono. Jedyną ostoją wierzącą gorąco w powodzenie trudnego bez wątpienia przedsięwzięcia był Zbigniew Hołdys. Ten sam, który w połowie 1985 roku podjął jednoosobowo decyzję o unicestwieniu kapeli, cieszącej się ogromnym uznaniem nastolatków.

Pamiętam, jaką sensację wywołały w Lublinie pożegnalne koncerty grupy. Guru był jednak zdania, że dosyć ma kaprysów leniwych nad wyraz kolesiów i jako pomysłodawca tudzież nadworny kompozytor Perfectu, ma prawo sam poderżnąć gardło kurze, znoszącej złote jaja. Mało tego, nie zamilkł jak koledzy z zespołu, tylko obnosił się publicznie ze swymi żalami, dając żurnalistom całkiem niezłą pożywkę. Sam zresztą zamienił gryf gitary na pióro i przez dłuższy czas zabawiał się w surowego recenzenta miesięcznika muzycznego „Non Stop".

Deklarował wtedy dłuższy rozbrat z estradą, aby poświęcić się pisaniu książki. Miała ona obnażać kulisy polskiej rozrywki. Nie wytrzymał jednak długo w dziennikarskim postanowieniu. W zaciszu klubu studenckiego „Stodoła" podjął próby z nową, owianą mgiełką tajemnicy formacją. Debiut sceniczny kwartetu Moraweski, Waglewski, Nowicki, Hołdys" miał być światełkiem w tunelu polskiego rocka. Miał pokazywać wszystkim zbłąkanym, jak powinien wyglądać i brzmieć prawdziwie rockowy spektakl, w jaki sposób można doprowadzić publiczność do ekstazy.

Niestety, świetnie, obmyślane w najdrobniejszych szczegółach grepsy kwartetu nie wypaliły. Zespół miał nadmiar demokracji. Każdy czuł się w nim gwiazdą pierwszej wielkości i każdy próbował przeforsować własne pomysły. Chwytliwe zdawałoby się, plany nie mogły wciąż doczekać się realizacji. Po nagraniu jednej kontrowersyjnej w warstwie brzmieniowej melodyjnej słownej płyty „Świnie" która nigdy nie doczekała się premiery w radiu, grupa cichutko dokonała żywota.

Guru okopał się znowu w swojej twierdzy nie udzielał wywiadów, nie odpowiadał na prowokacyjne propozycje liderów z branży. Był ponad wszystkim. Tymczasem na rynku zaczęło się robić coraz tłoczniej. Jarocin i dziesiątki innych przeglądów produkowały wciąż nowych laureatów, żądnych sławy i pieniędzy. Większość debiutanckich formacji zabiegała usilnie o nagranie samodzielnej najlepiej dużej płyty i otwarcie konta w ZAiKS-ie.

Hołdys bacznie obserwował całą tę menażerię. Odpowiedzią na działalność rosnących w potęgę grup spod znaku „alternatywy" miała być kapela o dosyć prowokacyjnie brzmiącej nazwie Plugawy Anonim. Założył ją Hołdys z kilkoma weteranami (m. in. członkami lubelskiej Budki Suflera). Nadzieja na szybkie zawładnięcie emocjami tłumów zdawała się być bardzo bliska. Niestety, nie udało się kolejny raz. Guru nie zdołał utrzymać muzyków w ryzach. Po nagraniu zaledwie dwóch kawałków w radiu i występie na festiwalu opolskim Plugawy Anonim rozwiał się jak dym. Jego lider jednak nie spoczął na laurach. Zabierał wielokrotnie głos na antenie radiowej, wypowiadał się na różne ważne dla polskiej estrady tematy, zapowiadając rychłą niespodziankę, o jakiej nikomu się nie śniło.

Sensacyjna wiadomość gruchnęła gdzieś w połowie marca. Hołdys, niby to w żartobliwym tonie, jął snuć plan zagrania w dawnym składzie Perfectu, o ile koledzy na to przystaną. Impreza miała odbyć się dokładnie 1 kwietnia br. Większość sceptycznie nastawionych do pomysłów Zbynka słuchaczy Trójki uznała owo zwierzenie za primaaprilisowy kawał.

Koncert doszedł jednak do skutku. W gdańskiej hali „Olivia" zgromadziło się tego dnia kilka tysięcy żądnych emocji osób, które zapłaciły każda sowitą za ujrzenie kapeli w dawnym składzie.

Koncert, który miał być spontanicznym jednorazowym spotkaniem charytatywnym, część zysków przeznaczono na pomoc dla wychowanków domu dziecka, okazał się precyzyjnie zaplanowanym i dokładnie wyreżyserowanym widowiskiem. Perfect stary nie grał ze sobą cztery lata, ale prawdziwy, as sceny, dosłownie, [illegible] dosłownie nienaruszone przez „Chcemy być sobą", „Autobiografię", „Nie ma Zwis", „Pocałuj" [illegible] przebojów. Jeszcze nie [illegible] na [illegible] zachwyty [illegible] [illegible]

Największym jednak zaskoczeniem była obecność ekipy realizacyjnej, która rejestrowała koncert na taśmie i video. Po prostu przewidujący Zbynek zadbał o rozgłos i z jednorazowego spontanicznego spotkania postanowił wycisnąć, co się da. Szybki w podejmowaniu decyzji produkcyjnych, „Pronit" zgodził się wydać obszerne fragmenty recitalu Perfectu na trzech krążkach. Pierwszy z nich, zatytułowany „Perfect April In 1987-Live!", powinien niebawem dotrzeć na półki księgarskie. Następne czekają w kolejce na tłoczenie. Mało tego, pojawiła się w sprzedaży droga, ale bardzo atrakcyjna kaseta z największymi hitami zespołu.

Zbigniew Hołdys i Grzegorz Markowski podczas koncertu rockowego na Stadionie X-lecia w Warszawie

Fot. T. Walczak

Jak należało się tego spodziewać, Hołdys nie poprzestał na tym jednym koncercie. Kilka miesięcy później zapowiedział cykl sensacyjnych imprez na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia. Z takim pomysłem nikt do tej pory jeszcze nie wychylił! Wbrew złośliwym podszeptom zazdrośników, 12 września na stadionie i okolicznych błoniach doszło do realizacji ciągnącego widowiska muzyczno-plastycznego, połączonego ze sprzedażą najróżniejszych gadżetów, a nawet certyfikatów na koncert Perfectu w 2000 roku. „Perfect Day" stał się faktem. Mimo ogromnych kosztów, udało się zmontować niespotykanej dotąd rozmiarów scenę, sprowadzić najlepszą w kraju aparaturę nagłaśniającą i oświetleniową. „Perfect Day" z kilkugodzinnym recitalem bohatera wieczoru w obecności kilkunastu tysięcy sympatyków był następnym sukcesem animatora przedsięwzięcia. Guru triumfował. Publiczność dosłownie szalała z zachwytu, wykrzykiwała wraz z Grzegorzem Markowskim teksty największych szlagierów Perfectu. Przy okazji sprawdziła się w działaniu nowa „Agencja Perfect", zamierzająca promować ambitne i wartościowe zespoły.

Powodzenie imprezy z ogromnym rozmachem, zanotowane przez tę agencję, chciały twierdzenia niedowiarków o zmierzchu sławy gasnących rzekomo gwiazd. Mit Perfectu został ponownie wskrzeszony i jak znam życie, Zbigniew Hołdys stanie na głowie aby go szybko nie potrzebne mało przemyślaną akcją. Perfect jest przecież znowu na fali i mimo zapowiedzianej rezygnacji z tras koncertowych po kraju, może liczyć na stuprocentową frekwencję, gdziekolwiek by się pojawił. Myślę, że w przyszłym roku magik jeszcze parę razy wyciągnie królika ukrytego w cylindrze. Pokazał przecież, że stać go na rzeczy niemożliwe.

Sylvan Czabowski

czas. 2552/1-26

Australijski przekładaniec

Marek & Józek
Press Agency - Canberra

W NORTHERN TERRYTORY (Północne Terytorium) czy w gornej części stanu Queensland jest już naprawdę gorąco. Słońce pali tak jak rozżarzone żelazo, ślina zasycha w ustach i widząc malownicze jezioro lub rzekę, każdy turysta marzy o kąpieli. Turyści wchodzą do wody, a wielkie krokodyle atakują błyskawicznie i pożerają nieostrożnych ludzi. Każdego roku krokodyle pożerają ludzi w Australii bowiem w niebezpiecznych rejonach brak tablic ostrzegawczych. Kradną je sami turyści, nie dbając o bezpieczeństwo innych, jako że najmodniejszymi suwenirami z Australii stały się w tym roku oryginalne tablice ostrzegawcze z zębatą paszczą krokodyla.

— * —

„PRAWDZIWY MĘŻCZYZNA je mięso krokodyla odkrawając je od kości" — oto hasło, pod jakim odbyło się krokodylowe party w słynnym Darwin Hotel. Sześciu najlepszych kucharzy z Northern Terrytory przygotowało specjały z młodych krokodyli (starym nie pomogłoby żadne hasło z uwagi na twardość). Ponad dwustu gości degustowało dania z zębatych gadów, dostarczonych przez dwie krokodylowe farmy, istniejące na Północnym Terytorium.

Produkcja farm wzrosła w ostatnim roku z ośmiu ton do dwudziestu. Manager jednej z farm, John Bache, powiedział dziennikarzom:

— Chociaż krokodylowe mięso nie zastąpi steku z wołowej polędwicy, oczekujemy trwałych zamówień z najlepszych hoteli, restauracji i delikatesów.

Leigh Craig, szef kuchni w Darwin Travellodge przygotował wędzony ogon i krokodylowe paszteciki z sosem. Powiedział on dyplomatycznie:

— Mięso ma neutralny smak i ludzie w pierwszej chwili będą akceptowali to z trudem... Nadaje się ono znakomicie na pasztety.

Następnie pan Craig oszacował, że w 6-kilowym krokodylu znajduje się 1,8 kg mięsa ogonowego, 1,0 kg ciemniejszego mięsa z nóg, około 600 gramów polędwicy 400 gramów mięsa żeberkowego oraz 2,4 kg odpadów kostnych. Przewiduje on, że cena 26 dolarów za kilogram powinna zostać przyjęta przez amatorów.

— Myślę, że ludzie będą zainteresowani spróbowaniem krokodyla — zakończył z optymizmem.

Peter Pulman, szef kuchni w Diamentowej Plaży (kasyno gry w Darwin) przygotował krokodyla soté, krokodyla w pomidorach oraz krokodyla w białym sosie z grzybami. Pan Pulman, nie dbając o „neutralny smak" dostrzeżony przez poprzednika, powiedział dziennikarzom z entuzjazmem, że mięso ogonowe przypomina smakiem rybę, nogi krokodylowe podobne są w smaku do królika, a pozostałe mięso przyrównał do cielęciny. Dodał, że krokodyle powinny znaleźć szeroki rynek, jako atrakcja dla turystów i przysmak smakoszy...

— * —

W ALICE SPRINGS, miasteczku położonym w centrum Australii, w pobliżu Ayes Rock — największego monolitu świata, tajemniczej góry z czerwonego kamienia — znajduje się atrakcja przyciągająca turystów — kasyno gry. W tym to kasynie Gary Bird, urzędnik Aboriginal Development Commission (Komisja Rozwoju Aborygenów), postanowił spróbować szczęścia w grze. Tylko w grudniu '86 i styczniu '87 r. przegrał ponad milion dolarów. Ostatecznie przegrał 2,3 miliona dolarów, zanim zorientowano się, że nie są to prywatne oszczędności Gary Birda, lecz pieniądze... z konta Komisji Rozwoju Aborygenów.

— * —

PROFESOR MICHAEL GRACEY, pediatra pracujący od 15 lat w Kimberley, powiedział na kongresie ANZAAS w Townsville (North Queensland), że więcej niż jedna trzecia dzieci aborygenów ma zahamowany wzrost fizyczny i rozwój umysłowy. 20 proc. dzieci cierpi na infekcje płuc, 35 proc. na choroby skóry, 60 proc. ma jaglicowe zapalenie oczu, a 20 proc. chroniczne choroby ucha środkowego.

Jakie są powody chorób i degeneracji dzieci aborygenów? Profesor Gracey podał, że 95 proc. aborygenów żyje z zasiłku dla bezrobotnych, który rodzice przepijają w ciągu pierwszego tygodnia, a w drugim tygodniu rodziny głodują. Alkoholizm, palenie papierosów, głód, zła higiena i nędzne warunki mieszkaniowe — oto efekty zetknięcia aborygenów z cywilizacją Białego Człowieka.

Krzyżówka świąteczna z szyfrem

Poziomo: A. normalizacja, B. stan rachunku, C. rachunek, D. wiórek spod piły ● słynna zamkiem-muzeum wieś pod Poznaniem, E. figuruje w jadłospisie, F. dawny utwór wokalny wielogłosowy z koncertującymi instrumentami ● przednia strona medalu, G. spadkobranie ● brak, usterka, H. narzędzie krojczego ● synowe budrysa, I. ptaki z piórami do krakusek ● odmiana emerytury, J. handlowa nazwa węgli sulfonowanych ● nazywano go „Diabłem Łańcuckim" ● organ umożliwiający rozmnażanie się roślin bezkwiatowych, K. miasto wojewódzkie ● mocna skórka na cholewki, L. ciśnieniomierz ● synowie królów Hiszpanii i Portugalii ● przyrost kapitału, M. podpoznański ośrodek sportów wodnych ● tłuszcz zajęczy używany dawniej jako lek, N. napój bogów ● rencista w starszym wieku, O. rzut rożny ● usprawnianie ludzi kalekich i niepełnosprawnych, P. dawniej miasto obecnie dzielnica Wodzisławia ● wyższa uczelnia, R. teren podmokły, S. pracownica przemysłu tekstylnego ● odnośnik na dole strony, T. powieść Matyldy Weiny, U. góralski świerk, W. przetwarza napięcie prądu elektrycznego.

Pionowo: 1. rasa psa, 2. ludzie skrajnych poglądów, 3. państwo arabskie, 4. psie przynoszenie, 5. szlachecki dom ● wodociąg starożytny, 6. przepływa przez Saragossę, 7. przywóz towarów ● ozdobna grządka, 8. lasso, 9. profesja ● tajna korespondencja z więzienia, 10. białe płótno na ścianie w ciemnej sali, 11. odraza, obrzydzenie ● forma na but, 12. do wieszania kapitana przez zbuntowaną załogę, 13. nieodzowny przy tworzeniu melodramatu ● metalowy surowiec wtórny, 14. związki organiczne pochodne od alkoholi, 15. samochód ● dawna miara długości, 16. dokumenty poręczające wkłady, 17. znany współczesny malarz hiszpański ● przekaz pieniężny, 18. mieszczański odpowiednik herbu, 19. droga równoległa do przewidywanej linii frontu ● słynny postimpresjonistyczny malarz polski, 20. duży prawy dopływ Leny, 21. przedświąteczny solenizant ● herb rodu Łaskich, 22. zdanie muzyczne, 23. inaczej trocheje ● składnik drobnoziarnistych wywoływaczy fotograficznych, 24. duchowieństwo, 25. dokument wpłaty ● śląska gra w karty, 26. szukaj ich w kominie lub przysłowiu o nim, 27. dolarowy grosz (wspak), 28. pobiera prąd dla tramwaju, 29. uczony interesujący się kulturą i językami ludów irańskich.

Szyfr

H5. / S5. K10. W13. B15. / J26. C23. H24. L16. S2. T9. / E21. L29. M10. / I7. N6. M22. L18. F27. J15. G25. K20. A24. S4//

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cztery nagrody po trzy tysiące złotych (ufundowane przez Bank PKO SA). Można przesłać dowolną liczbę rozwiązań, ale do każdego musi być dołączony kupon zamieszczony przy krzyżówce.

Krzyżówka świąteczna „Kameny"

KUPON

Rozwiązanie krzyżówki Nr 21 szyfrogramu literackiego

Gdym obtańczył Młodziakom ręczniki, pidżamy, pastę, łóżka i przyrządy, wycofałem się prędko, zamykając drzwi za sobą. Napuściłem im tańca do nowoczesnego wnętrza! Ale dalej, dalej, teraz pokój pensjonarski, teraz tam zatańczyć napsuć!

Witold Gombrowicz — „Ferdydurke"

Nagrodę wylosowała Maria Jedliczko, ul. Paganiniego 12 m. 84, 20-854 Lublin.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Wiesław Horabik, Tadeusz Jasiński (sprawy literackie; interesantów przyjmuje we wtorki w godz. 14—16), Ireneusz J. Kamiński. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo skrótów.

Druk Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4.

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — „Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 8, tel. 365-36.

Adres redakcji 20-029 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 2190. 08.12.1987. Z-4